MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIV. Nr. 8. WARSZAWA, 18 LUTEGO 1934 R. CENA NUMERU 80 GR.

REWOLUCJA NARODOWA WE FRANCJI

NARODY europejskie mają długą i pełną krwi historję. Kształtowały się one w ciągu dwóch tysięcy lat, pod wpływem dwóch przemożnych czynników — chrześcijaństwa i tradycyj Rzymu starożytnego. Czynniki te działały na różne środowiska, miały różne natężenie, w zależności od odległości, w jakiej od ośrodka rzymskiego rozwijały się państwa i narody. Ta wspólna podstawa wszakże sprawia, że mimo różnic, jakie istnieją dziś między poszczególnemi narodami kultury zachodnio-europejskiej, są w ich życiu także wielkie podobieństwa.

Wystarczy spojrzeć na Europę — od Gibraltaru do Dniepru i Dźwiny — by się przekonać o prawdzie słów powyższych. To, co jest niezależne od przemijającego życia pokoleń — krajobraz i budynki — świadczy o podobieństwie ludzi, którzy te kraje zamieszkują. Kto widział katedrę medjolańską, Notre-Dame w Paryżu i nasz kościół marjacki, ten wie, że różnią się te gmachy wielce między sobą, człowiek nieobyty z architekturą powie, że są zgoła różne, że niema w nich nic wspólnego. Kto świadom jednak tajemnic architektury, ten wie doskonale, że należą do budowli tego samego stylu, że wspólną mają tajemnicę swej potęgi i swego wdzięku. Gotyk średniowiecza różne wydał odmiany, zależnie od nieba, pod którem pod jego natchnieniem powstały, pomniki budownictwa, zależnie od materjału zależnie od ducha narodów, lecz — mimo to — z tych samych wszędzie wychodzi założeń, jest wyrazem tych samych prądów dziejowych.

Historja mówi nam to samo. Im dalej idziemy w przeszłość, tem większa jednolitość warstw kulturalnych w Europie średniowiecznej i Odrodzenia świadczą o tem dobitnie. A nawet później, gdy zaczęły się coraz bardziej uwydatniać różnice, zawsze odnaleźć można wspólny pień drzewa życia narodów europejskich. Wszak tak blisko nas jest ostatni wielki prąd dziejowy, który wywołał Wielką Rewolucję Francuską i rozpowszechnił jej zasady po całej Europie. Pokolenia nasze współczesne żyją jeszcze pozostałościami tej ideologji.

Czyż można się tedy dziwić, że i nowoczesne prądy ideowe ujawniają się we wszystkich krajach naszego kontynentu, że — mimo różnic, jakie między niemi istnieją — ulegają im wszystkie narody, których kultura i cywilizacja są zbudowane na tradycjach chrześcijaństwa i Rzymu starożytnego?

Żyjemy na przełomie podobnym do tego, jaki był między światem starożytnym a średniowieczem. Patrzymy na to, jak ginie świat stary, jak powstaje świat nowy. Prądem zaś twórczym, który przeobraża narody, jest prąd narodowy.

*

Nazwano go na Zachodzie nacjonalizmem. Złorzeczyli mu przez długie lata, w okresie jego powstawania i krystalizacji, wyznawcy ideologji Wielkiej Rewolucji. Dziś zwycięża on i przekształca życie ludów, a przejawia się w formach gwałtownych pod postacią rewolucyj narodowych. Na-

stąpił przewrót głęboki we Włoszech i w Niemczech, są w konwulsjach rodzenia się nowego porządku i inne kraje od dłuższego czasu. Obecnie przyszedł czas i na Francję. Bo trzeba sobie jasno powiedzieć, że ostatnie krwawe wypadki w Paryżu nie są zjawiskiem przejściowem, walką o taki lub inny gabinet ministrów, o rzeczy drugorzędne. Są to zapowiedzi procesu dziejowego, który nazwać trzeba rewolucją narodową. Inne są zgoła warunki we Francji, niż we Włoszech lub w Niemczech; zgóry tedy powiedzieć można, że inny tam będzie przebieg wydarzeń i inne ich wyniki, nie zmienia to jednak faktu, że kto chce zrozumieć to co się tam dzieje, musi wyjść z założenia, że dokonywa się nad Sekwaną proces analogiczny do tego, jaki się odbył nad Tybrem i nad Szprewą. Przeciwko panującemu we Francji niepodzielnie obozowi, opartemu o ideologję Wielkiej Rewolucji, rozpoczął się bunt wyznawców ideologji narodowej, a że kośćcem starego porządku jest organizacja wolnomularska, więc też ona bronić się musi, a nowe — nacjonalistyczne siły atakują. Nacjonalizm francuski ma już swoją długą historję, lecz stał on dotychczas poza życiem politycznem Trzeciej Republiki. Życie to od czasu sprawy Dreyfusa (1897) zostało całkowicie opanowane przez wolnomularstwo. Odbywał się jednak pod wpływem pisarzy nacjonalistycznych głęboki przewrót w umysłach, zwłaszcza młodzieży. I trzeba było tylko chwili stosownej, by to przeobrażenie, które odbywało się w mózgach i w sercach francuskich, ujawniło się nazewnątrz.

Po wojnie loże starannie pracowały nad tem by przywrócić swój *prestige*, zachwiany w okresie wojennym. Potrafiły utrzymać władzę w swem ręku, lecz nie potrafiły rozwiązywać nasuwających się, wielkich zagadnień. Na terenie polityki zagranicznej spadł szereg niepowodzeń, w finansach powiększał się rozstrój, kryzys gospodarczy wniósł niepokój w szerokie warstwy. Wreszcie przyszło ujawnienie skandalów finansowych, przyczem okazało się, że były one możliwe dzięki pobłażliwości lub współdziałaniu ludzi z polityki, administracji, policji i t. d. Hasło „precz ze złodziejami" znalazło szeroki oddźwięk w kraju i poruszyło spokojne dotychczas masy. Ostatnie wydarzenia w Paryżu świadczą dobitnie, że patrjotyczna ludność stolicy, która już tyle razy odegrała decydującą rolę w historji Francji, postanowiła powiedzieć swoje słowo w polityce i życiu.

*

Patrzymy dopiero na początek rewolucji narodowej we Francji. Już pierwszy jej dzień zmusił panującą od lat blisko czterdziestu oligarchję do częściowej kapitulacji. Byli w wolnomularstwie francuskiem ludzie, którym się wydawało, że można uratować jego pozycję przez zastosowanie metod faszystowskich. Do nich należeli Daladier i Frot. Użyli wojsko i przegrali. Rząd jedności „narodowej" jest jeszcze w rękach masonerji, której reprezentant jest ministrem spraw wewnętrznych (Sarraut), lecz jest ona już wstydliwie ukryta poza ludźmi, mającymi dobrą opinję w kraju.

Rząd sędziwego i szanownego p. Doumergue'a jest jednak tylko rządem przejściowym. Bo nie wystarcza stworzyć fasadę jedności i uspokojenia, trzeba czynów takich, które doprowadzą do załatwienia nasuwających się trudności, a gdy do czynów tych dojdzie, wówczas ujawnią się różnice zdań i dążeń. Zaś opinja publiczna oczekuje zmian gruntownych i radykalnych...

Trzeba się też liczyć, że władcy dotychczasowi nie uważają się za zwyciężonych. Będą usiłowali zmobilizować siły, jakie mają do dyspozycji. Strajk ostatniego poniedziałku jest taką właśnie próbą. Gdy przygotowuje się tragiczne starcie przeciwnych sobie prądów, nie da się go zażegnać hasłami „jedności" i wzajemnego zaufania.

Przypomnijmy sobie rewolucję rosyjską, przypomnijmy sobie to, co przed przyjściem Hitlera działo się w Niemczech, a wówczas zdamy sobie sprawę z tego, co może jeszcze nastąpić we Francji.

Jak się to skończy? Jedni przepowiadają, że naprawą parlamentaryzmu i poprawieniem funkcjonowania „Demokracji". Inni, oglądając się na Włochy i Niemcy, poszukują kandydatów na dyktatora, wymieniając nazwiska gen. Weyganda, Tardieu'go lub Chiappe'a. Jeszcze inni przewidują przywrócenie monarchji...

Nie będę się wdawał w przepowiednie. Radzę jednak zastanowić się nad tem, gdzie są ludzie, którzy wśród zamętu obecnego mają skrystalizowaną ideologję, gotowy plan i organizację. Bo z doświadczeń ostatnich w różnych krajach wiemy, że tacy ludzie zwyciężają. Bolszewicy, faszyści, hitlerowcy nie zrodzili się w okresie zaburzeń rewolucyjnych. Oni wypadki wywołali, dali organizację i działali z wyraźnym planem. Jeśli się przyjrzeć położeniu we Francji, trzeba sobie powiedzieć, że stoją tam naprzeciw siebie dwie zorganizowane siły — wolnomularstwo, mające na swe usługi organizacje socjalistyczne, syndykaty robotnicze, związki zawodowe kolejarzy, nauczycieli itd., oraz trzymające w swem ręku cały aparat państwowy, i nacjonaliści z *„Action Française"*, reprezentujący wyraźną ideologję, mający plan rozwiązania sytuacji, tudzież organizację ścisłą i gotową na wszystko.

Między tymi dwoma przeciwnikami rozpoczęła się walka. Czy zwycięży jeden z nich, czy też skorzysta z okazji ktoś trzeci? Na to pytanie odpowie nam przyszłość niedaleka.

STANISŁAW KOZICKI

SZÓSTY LUTEGO W PARYŻU

SKĄD wyjdzie ruch, który powstrzyma Francję na drodze pochyłej, wiodącej do moralnej dekadencji i politycznego upadku? Tyle razy zadawałem sobie to pytanie w czasie mego pobytu nad Sekwaną! Mówiono mi przecież i udowodniono licznemi ankietami, że młodzież francuska odwraca się od polityki i manifestuje zupełny sceptycyzm wobec „mistyk“, które poza Renem i Alpami zapalają świat. Skarżono się, że byli kombatanci, którzy gdzieindziej stali się pionierami narodowego odrodzenia, we Francji wychodzą na ulicę tylko wtedy, gdy grozi im obniżka pensyj. I oni i cały kraj patrzył ze zdumiewającym spokojem na mnożące się w ostatnich dwu latach przejawy upadku. Rządy radykalne zmieniały się co kilka miesięcy, nie mogąc z powodu oporu socjalistów przeprowadzić przez Izby nawet ograniczonej sanacji budżetu. Egoistyczne syndykaty urzędnicze dyktowały swą wolę większości lewicowej Izby. Bezsilny rząd; mechanizm parlamentarny w bezruchu; komunizm coraz zuchwalszy; opozycja narodowa rozbita, pozbawiona energji i wielkich wodzów. Nad wszystkiem górowało pragnienie pokoju, pokoju za wszelką cenę, chęć przebłagania wczorajszego wroga przez wypieranie się zwycięstwa i usuwanie w cień jego sprawców. „Tolerowano“ — pisze H. Bordeaux — „wychowanie prawie międzynarodowe, które potępia dumę należenia do kraju najpiękniejszego i najszlachetniejszego, do kraju, którego wspaniała przeszłość nurza się w nocy czasów.”

Reakcja przeciw rozkładowi była słaba. Nigdy Francja nie przechodziła takiego upadku ducha narodowego — skarżył się historyk Madelin. Ale dodawał: niech wrogowie nasi zbyt na to nie liczą. Historja Francji zna cudowne eksplozje narodowej energji. Raz będzie jej wyrazem dziewczyna wiejska z Lotaryngji, innym razem książę ze krwi św. Ludwika, kiedyindziej żołnierz z pod Arcole. I wreszcie w naszych już czasach starzec, który całe życie strawił na osłabianiu źródeł moralnej siły narodu...

Tymczasem jednak każde niemal wybory uzupełniające zapewniały przyszłość rządzącej krajem — poprzez partje lewicowe — masonerji. Na Quai d'Orsay utrzymywał się dalej „mały Briand“, kierowany przez szefa francuskiego oddziału II-ej Międzynarodówki, Leona Bluma. Wrogiem, przeciw któremu mobilizowano wszystkie siły, nie byli Niemcy, nie był kryzys, ani komunizm, ale była nim koalicja narodowa: rząd z udziałem przedstawicieli grup umiarkowanych parlamentu...

I oto, prawie niespodziewanie, wieczorem 6 lutego, na Placu Zgody w Paryżu, znalazły się 60-tysiączne tłumy, by w imponującej manifestacji zaprotestować przeciw tym, którzy tę degradację moralną i polityczną Francji tolerowali i na niej swe karjery budowali. I, o dziwo! spotkałem tam masy entuzjastycznej młodzieży i zwarte szeregi byłych kombatantów. „Wszystkie poniżenia, wszystkie rozczarowania, doświadczone od czasu Zwycięstwa, wyraziły się w tem spotkaniu weteranów wojennych i młodzieży: pierwszych, obarczonych sławą i wspomnieniami, drugiej obarczonej nadziejami”— pisze w *„Echo de Paris“* p. Kerillis, jeden z tych kilku publicystów francuskich, którzy w ostatnich latach swemi zapalnemi artykułami podtrzymywali wiarę i aktywność patrjotyczną.

Okazją, ale bynajmniej nie przyczyną manifestacji, były fakty korrupcji dygnitarzy rządowych, policyjnych, sądowych i parlamentarnych, ujawnione w skandalu Stawiskiego. Afera ta „skrystalizowała wszystkie niepokoje, które nas osaczają od lat kilku”—mówił b. prezydent Doumergue. Naród francuski zachował nawet w trudnych czasach powojennych tradycyjną uczciwość. Afera Stawiskiego wywołała w nim szczere i ogólne oburzenie, które się jeszcze spotęgowało, gdy rząd Chautempsa, popierany tym razem zwartą ławą i bez zastrzeżeń przez socjalistów, usiłował śledztwo przewlekać i udział skompromitowanych filarów masonerji tuszować. Odmowa komisji śledczej była zuchwałą prowokacją większości Izby pod adresem wszystkich uczciwych Francuzów. Ale w ciągu kilkunastu dni niezawisła prasa i kilku odważnych deputowanych wymusiło swemi rewelacjami dymisję rządu. Jego następca, Daladier, obiecał wyświetlenie publiczne afery. Zerwał z socjalistami i wziął do swego gabinetu trzech ministrów z opozycji centrowej. Manewrem tym uratowałby zapewne partję radykalną. Ale masonerja w trzy dni później narzuciła mu swą wolę. Rząd, który się 6-go lutego Izbom przedstawił, był już tylko wierną reprodukcją swych poprzedników. Masonerja poszła na wyraźną walkę z opinją publiczną. Jej wykonawcą został młody minister spraw wewnętrznych, Frot. W kołach rządowych mówiono o nowym *„vendemiaire”*, o zduszeniu narodowej opozycji terrorem. Areszty, zamachy policyjne, zakaz manifestacji,—oto o czem marzyli neo-jakobini z r. 1934. Prefekt policji paryskiej p. Chiappe, energiczny ale uczciwy Korsykanin, nie nadawał się na narzędzie tych planów. W ciągu 7-letniego urzędowania stosował zawsze metodę poskramiania demonstracyj bez przelewu krwi. Usunięto go przeto, przenosząc daleko od Paryża, na gubernatora w Maroku.

Dymisja Chiappe'a wyprowadziła tłumy paryskie na ulicę. Zrozumiano jej znaczenie. Nie myślano jednak wiele o rewolcie. „Młodzież Patrjotyczna“ i rojaliści, b. kombatanci wyszli bez broni. Żaden też policjant nie został tego pamiętnego wieczoru zraniony kulą rewolwerową lub sztyletem. Manifestanci chcieli tylko swą siłą i liczbą obudzić Paryż i zastraszyć rządową większość Izby. Jedyną pieśnią, śpiewaną przez nich, była „Marsyljanka“, jedynemi sztandarami—barwy trójkolorowe.

Przypadek i fatalność pokrzyżowały plany stron obu. Nowy prefekt, niedoświadczony i zdenerwowany bezwzględnemi zarządzeniami ministra, pośpieszył się ze strzałami karabinowemi. Nie umiał zagrodzić tłumom drogi na Plac Zgody. Nie użył przeciw nim gazów łzawiących lub reflektorów oślepiających, nie zatarasował mostu Zgody autokarami. Lud napierał silnie na most, po którego drugiej stronie widniał Pałac Burboński, reprezentujący w tej chwili znienawidzony system. P. Frot chciał mieć swój *vendemiaire*. Co niedzielę, wchodząc do kościoła św. Rocha, oglądam ślady kul, jakie zostały tam po walkach z 13 *vendemiaire*'a 1795 r. Stał tam młody Bonaparte i szarżą armatnią odrzucił atak rojalistów na Konwencję w Tuilerjach. Te strzały — to ważna data; przy ich odgłosie wstępował do Historji przyszły cesarz. — Dziś na Pa-

łacu Marynarki, arcydziele architektury Ludwika XV i na kolumnie Strasburga widziałem podobne ślady kul. To „gwardja ruchoma” wieczorem 6 lutego 1934 r. strzelała do tłumu, przed którym niesiono tablicę z rewolucyjnem zaiste żądaniem: „Chcemy republiki uczciwej i przyzwoitej“...

Ta data również pozostanie historyczną. Strzały przy moście Zgody przebudziły opinję publiczną i obaliły rząd neo-jakobinów. Oburzenie Paryża było żywiołowe i wspaniałe. We czwartek rząd zostałby zmieciony przez rewolucję 200 tysięcy zbrojnych ludzi. Ale już we środę opuścił plac boju. Prezydent Republiki zaapelował do swego poprzednika Doumergue'a, by utworzył gabinet jedności narodowej. Powtórzyła się historja z r. 1926, kiedy to prez. Doumergue, również pod wpływem manifestacyj ulicznych z powodu spadku franka, powierzył rządy swemu poprzednikowi Poincarému. „Rewolucja ludzi uczciwych“, jak H. Bordeaux nazywa wypadki z 6 lutego, zwyciężyła.

Niestety, grozi jej dzisiaj podobne niebezpieczeństwo, jak przed laty 8-iu. Nie posiada ona ani jednolitej organizacji, ani przywódców znanych i wybitnych. Inną drogą pójdą rojaliści, a inną młodzież patrjotyczna Taittingera, republikańska i demokratyczna. O jakimś nieokreślonym faszyzmie marzy *„Croix de feu“*, organizacja b. kombatantów, odznaczonych za waleczność, której szef, pułkownik La Rocque próbuje odegrać rolę Mussoliniego. Większość b. kombatantów nie posiada jednak określonych politycznych poglądów.

Zapatrywania na reformą konstytucji nie są w całym tym obozie ani ustalone ani jednolite. Współzawodnictwa i niechęci wzajemne — silne. Obecnie przez udział grup narodowych w rządzie. Doumergue’a energja i wojowniczość tych żywiołów ulegnie zapewne osłabieniu. A tymczasem należałoby przeprowadzić w całym kraju propagandę i organizację na wielką skalę, by umocnić się na zdobytych pozycjach i uniemożliwić zwycięską kontrofensywę przeciwników.

Kontrofensywa ta już się zaczęła. Na 12 lutego socjaliści i komuniści ogłosili strajk 24-godzinny, jako „ostrzeżenie faszystom z 6 lutego“. Rzecz bezprzykładna: do strajku przyłączyli się pracownicy zakładów użyteczności publicznej, nauczyciele i różne grupy urzędniczek. Oto następstwa słabości rządów lewicowych wobec syndykatów. Oto także skutki zaniedbania działalności organizacyjnej w kołach pracowniczych przez obóz narodowy. Strajk generalny, witany z sympatją przez radykałów (mimo że biorą udział w rządzie narodowym), może poważnie zagrozić zdobyczom z 6 lutego. Może w krótkim czasie przywrócić do władzy masonerję. Radykali zgodzili się przecież na współ- z p. Tardieu tylko pod wpływem strachu.

Najdonioślejszym skutkiem wypadków z 6 lutego byłaby reforma Konstytucji, która leży w planach Doumergue’a i Tardieu'go. Plany są skromne: prawo rozwiązania Izby przez Prezydenta i zmiana systemu wyborczego (usunięcie okręgów jednomandatowych i wyborów ściślejszych). P. Tardieu żąda także głosowanie kobiet i referendum. Radykalni przeciwnicy systemu liberalnego we Francji nie mają — poza *„Action Française“* — żadnego znaczenia. Dyktatura ? Żaden kraj do niej nie jest mniej przystosowany niż Francja — zapewnia znakomity publicysta L. Romier. We Francji żyje jeszcze niepopularność rządów Napoleona III, niepopularność zresztą „pogrobowa“, stworzona przez oficjalną historję III Republiki, teraz zaczyna się pewna rewizja tych sądów, gdyż Republika okazała się znacznie mniej piękną, niż była za cesarstwa. Gdzież jest zresztą kandydat na dyktatora? I Coty, zrujnowany dziś miljoner, organizator „Solidarności Francuskiej“ i Gustaw Hervé, twórca narodowego socjalizmu, nie będą chyba nigdy groźni dla III Republiki. Kto wie, czy antyliberalne tendencje nie wezmą góry raczej na lewicy, zagrożonej przez ostatnie wypadki. Lecz i lewica, podobnie jak cała Francja, przeżywa dzisiaj kryzys szefów. Prezydent Republiki może spać spokojnie, poważny kandydat na francuskiego Mussoliniego jeszcze się nie pojawił na ulicy Paryża. O generałach zaś mówi się, że żaden nie cierpi na bezsenność po przeczytaniu „Memorjału z wyspy św. Heleny”. (Czy żaden? Socjaliści mają wątpliwość co do jednego). W *Palais-Bourbon* są bębny, ale zwiastują one tylko wejście prezydenta Izby; nikt na razie nie myśli ich użyć do powtórzenia 8 *Brumaire*’a.

Pozostają na boku monarchiści, ale ich projekty dla zrealizowania wymagają i czasu i okoliczności.

Tak więc nawet po 6 lutego, mimo olbrzymiego sukcesu, jakim jest powstanie rządu Doumergue’a, obóz narodowy Francji musi jeszcze dokonać wielkiej pracy myśli i organizacji, by dzieło odrodzenia narodowego doprowadzić do końca. Ale sukces ostatni dodać mu winien odwagi i siły. Niezawodnie także wzmocnienie powagi i wpływu Francji na zewnętrz oraz porządku wewnętrznego, ożywienie jej aktywności gospodarczej i wiary w przyszłość, — rezultaty spodziewane działalności nowego rządu — wytworzą w narodzie taki nastrój duchowy, takie podniesienie ambicji i takie napięcie woli, że powrót do abdykacji i rozstroju lat ostatnich staną się niemożliwe. W ten sposób data 6 lutego stałaby się początkiem nowego okresu. Wszystko za tem przemawia, żyjemy już od kilku dni w innym klimacie duchowym. Inną jest już dynamika życia politycznego Francji.

Paryż JAN MATYASIK

NA BŁĘDNEJ DRODZE

PRZEBIEG dyskusji na XXII kongresie P. P. S. czytało się z największem zainteresowaniem i... zdumieniem. Słowa, które raz po raz padały z ust starszych i młodszych mohikanów socjalizmu polskiego, stanowiły zasadniczy zwrot w dotychczasowych podstawach i sensie tego ruchu, świadczący jednak równocześnie o jego załamaniu i wejściu w bodaj ostatni etap, końcowy:

„Pozostaje pytanie, jak wyjść z sytuacji?“— zapytał na Kongresie p. Szczerkowski —„w drodze walki demokratycznej lub walki na terenie parlamentarnym — w to nikt już nie wierzy. Partja musi przystosować się do wymogów życia i do potrzeb mas w nowych warunkach i zająć odpowiednie stanowisko“.

Śmielsi posunęli się we wnioskach dalej:

„Jest tylko jedna droga i dla każdego jest rzeczą jasną i wyraźną, że droga demokracji załamała się. Zdanie sobie

z tego sprawy jest doniosłą rzeczą.. Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że po zdobyciu władzy nie zarządzimy nazajutrz wyborów demokratycznych".

„Nie jest tak, że masy robotnicze dyskutują nad zagadnieniem: demokracja czy dyktatura? Owszem powiadają one: tyle razy postawiliśmy na demokrację i przegraliśmy. Postawmy raz na dyktaturę. Masy z pewnością nie będą się pytać, jaką legitymację ma ten rząd, który im zapewni pracę, chleb, mieszkanie, swobodę i kulturę".

Jakiż więc wniosek pozytywny?

„Zejdźmy z obłoków demokracji na twardy grunt rzeczywistości — na grunt pochodu ku klasowej dyktaturze mas pracujących.. Sytuacja wymaga innych form walki i innych haseł. Hasłem tem — dyktatura mas pracujących".

Przytoczyliśmy tylko najbardziej charakterystyczne i typowe momenty przemówień, świadczące, że ostatni sprzymierzeniec demokracji w Polsce, jej patentowany obrońca i szermierz — zdradził jej sztandar i pozostawił ją własnemu losowi. Praktycznie stało się to już w maju r. 1926, z tem tylko, że socjalizm polski sądził naiwnie, iż masy nie zorjentują się w tej „taktyce". P. P. S. chciała później naprawić swoją pomyłkę, ale napróżno.

Przewódcy jej pomylili się już po zamachu majowym po raz drugi. „Postawili na demokrację". Nie wczuli się w instynkt tych mas, których mienili się być sercem i duszą. Masy nie dały się wprowadzić powtórnie na drogę demokracji, pod której hasłem dostały się pod *regime* sanacyjny. Z drugiej zaś strony demokracja przestała być już dawno ich bożyszczem. Trzeba było siedmiu lat doświadczenia, aby na Kongresie partji socjalistycznej w Polsce zrozumiano ten fakt i aby padły słowa druzgocące podstawę, która była chlubą i naczelnem hasłem socjalizmu. Wszak nie co innego, tylko demokracja różni w praktyce socjalizm od komunizmu. Ona była m. in. tem, co kazało II międzynarodówce socjalistycznej przeciwstawić się rewolucji komunistycznej w Rosji.

Socjalizm polski opóźnił się, nie nadążył myślowo. Przestał odczuwać rzeczywistość i nie ma już kontaktu z instynktem mas. Nie mówimy tego w tym celu, aby się naigrawać lub ostatecznie pognębiać resztki tego ruchu, ale aby stwierdzić fakt i wysnuć z niego wnioski.

I tak jak siedem lat temu publicystyka narodowa zapowiadała brak realizmu w polityce socjalizmu polskiego, tak dziś twierdzimy, że wysunięte świeżo hasło dyktatury proletarjatu nie ma również nic wspólnego z właściwym nastrojem mas. Wisi ono w powietrzu i jest sztucznym tworem, wylęgłym za zielonym czy czerwonym stołem Kongresu warszawskiego. Jest to tembardziej twór dziwny, że socjaliści polscy mieli przecież sposobność niedawno oglądać „entuzjazm" mas dla idei dyktatury socjalistycznej w Niemczech, gdzie niemal nikt palcem nie ruszył w jej obronie. A przecież socjalizm niemiecki miał więcej do powiedzenia, aniżeli socjaliści polscy, chociażby ze względu na swoją faktyczną siłę liczebną i na warunki, w jakich mógł jeszcze działać.

Socjaliści zatem już po raz trzeci w krótkim okresie czasu wchodzą na błędną drogę. Masy nie chcą dyktatury proletarjatu. Pragną one istotnie chleba dla siebie, ale rozdanego przedewszystkiem, jeżeli nie wyłącznie, tym, którzy są w Polsce jej właściwą siłą i fundamentem. Zmiana w Polsce dokonać się może tylko zapomocą mas polskich i one są jednym czynnikiem realnym. Masy innych narodowości czy grup zamieszkałych w Polsce nie mogą być brane w rachubę, bo doprowadziłyby Polskę do katastrofy komunistycznej.

I dlatego zmiana w Polsce nie dokona się pod hasłem dyktatury proletarjatu, ale, jeśli tak można się wyrazić, dyktatury narodu polskiego. Skoro ustępują z placu ostatni obrońcy „demokracji"—zrealizowanie tej właśnie dyktatury będzie łatwiejsze. Hasło to odpowiada bowiem masom polskim, a niechęć do dzisiejszej rzeczywistości streszcza się w znacznej mierze do tego, że w Polsce mogą dziś głodować Polacy, a nie Polacy chodzą syci.

KLAUDJUSZ HRABYK

WZORY JAPONJI

NA TLE powszechnego kryzysu gospodarczego specjalnie charakterystyczny, zwracający powszechną uwagę jest rozwój gospodarczy Japonji. Oczywiście nie wolno zapominać o tem, że rozwój ten nie jest łańcuchem samych powodzeń, że również Japonja znajduje na swej drodze cały szereg, nieraz bardzo poważnych trudności gospodarczych. W każdym razie jednak można stwierdzić, bez konieczności przytaczania wielokrotnie w prasie polskiej powoływanych danych statystycznych, że jesteśmy świadkami szybkiego rozwoju gospodarczego Japonji, w rozmiarach, które zagrażają rozwojowi gospodarczemu innych krajów.

Głównem źródłem powodzenia Japonji również i w dziedzinie gospodarczej jest siła moralna i spójność narodu japońskiego. Niewątpliwie w ciągu ostatnich paru dziesiątków lat i do Japonji dostały się bakcyle rozkładu, konsekwencje zatrutej atmosfery, wytwarzanej dziś w krajach europejskiej cywilizacji, dają się i tam odczuwać. W porównaniu jednak do stanu psychicznego narodów europejskich w chwili obecnej, należy uznać naród japoński za naród zdrowy, zdolny w o wiele szerszym od innych zakresie do celowych, na wielką skalę zakrojonych akcyj politycznych. Ta siła i zdrowie moralne musiały również znaleść konsekwencje na terenie gospodarczym, one właśnie są głównem źródłem sukcesów w tej dziedzinie.

Jeśli chodzi o przyczyny natury ściśle gospodarczej, pierwszem źródłem powodzenia jest taniość produkcji japońskiej. Oczywiście, może być sporo przesady w tem, co się mówi o cenach artykułów japońskich, sprzedawanych na rynkach obcych, trzeba również wziąć pod uwagę, że często są to ceny d u m p i n g o w e, nie wyrażające całkowitych kosztów produkcji. Nawet jednak po wzięciu pod uwagę tych zastrzeżeń, niskie koszty produkcji w Japonji nie mogą być kwestjonowane i mają one wielki wpływ na jej wyższość w walce konkurencyjnej. Źródłem zaś niskich kosztów produkcji jest niesłychanie niski poziom płac, przy braku ubezpieczeń społecznych i ochrony pracy, co w połączeniu z zastosowaniem zdobyczy technicznych daje imponujące wyniki.

Pod wpływem sukcesów japońskich, w poszukiwaniu dróg zabezpieczenia się przed niebezpieczeństwem japońskiem, z najrozmaitszych stron wysuwane są pomysły pójścia w ślady Japonji w za-

kresie obniżenia kosztów produkcji. Niewątpliwie w tej dziedzinie we wszystkich krajach europejskich niejedno byłoby do zrobienia. Tytułem przykładu zacytujmy choćby wynagrodzenia członków rad nadzorczych wielkich spółek akcyjnych. Trzeba jednak sobie zdawać sprawę, że w tym zakresie nie będziemy w możności sprostać niebezpieczeństwu japońskiemu, gdyż głównym atutem Japonji jest niesłychanie niski poziom płac robotniczych. Oczywiście w krajach wysokich płac, jak Stany Zjednoczone i Anglja, pewne obniżenie płac będzie musiało nastąpić. W takim kraju nędzy robotniczej, jak Polska, niewiele już dałaby się osiągnąć na tej drodze.

Trzeba pamiętać, że poziom potrzeb, jakie odczuwa robotnik japoński, nie jest możliwy do osiągnięcia w krajach europejskich, nawet w Polsce. Byłoby to sprzeczne z podstawami naszej cywilizacji, opierającej się na jednostce, która musi mieć choćby najskromniejsze środki, umożliwiające zaspokojenie tych potrzeb. Nacjonalizm europejski opiera się na zasadzie wciągnięcia w orbitę duchowego życia Narodu jaknajszerszych warstw społecznych i dlatego musi dbać o zapewnienie szerokim warstwom niezbędnych do tego środków materjalnych. Wiemy dobrze, że okres, który stoi przed nami, to okres bardzo ciężki pod względem gospodarczym. Zdaje sobie z tego sprawę zwłaszcza pokolenie młodsze, które przedewszystkiem na sobie odczuwał i odczuwać będzie skutki kryzysu, choćby jednak warunki materjalne były najcięższe, musi istnieć możliwy, sprawiedliwszy podział dóbr materjalnych. Naród europejski nie zniesie podziału na kasty, gdzie jedynie niektóre z nich składałyby się z pełnoprawnych członków Narodu. Za cenę niewolnictwa nie chcemy ani piramid egipskich, ani Magnitogorska, ani takich sukcesów gospodarczych, jakie odnosi ostatnio Japonja.

Tem, co możemy w Japonji naśladować, jest siła i wartość moralna Narodu, zdając sobie jednak sprawę z odmiennych zupełnie podstaw naszej cywilizacji. Tembardziej jest to konieczne, że niebezpieczeństwo, które zagraża ze Wschodu Europie, będzie musiało być udaremnione przedewszystkiem środkami natury politycznej.

J. PRUS

REPERTUAR STAŁY

ZAPEWNE już dziesięć lat minęło, a może więcej, od czasu, gdy w teatralnych kołach Warszawy, a po części i w prasie, z pewnem ożywieniem omawiano sprawę utworzenia w głównych teatrach repertuaru stałego. Pomimo niewątpliwej potrzeby takiego repertuaru, pomimo szumnych nazw, jakiemi go obdarzono („repertuaru fundamentalnego", albo „żelaznego"), sprawa rozwiała się i wnet o niej zapomniano. Dziś ani śladu w umysłach niema z tych fundamentów i żelaz. Wyparowały.

Ale sprawa została, niby choroba w organizmie, narkotykami w objawach swoich łagodzona. Kto wie, czy zaniedbanie idei repertuaru stałego nie było jednym z najważniejszych powodów upadku teatru o typie wyższym, na co obecnie powszechnie się utyskuje. Skoro zatem kultura teatralna ciągle w przededniu kresu swojego się znajduje, może przyda się na co podjęcie raz jeszcze idei porzuconej, przypomnienie jej i wskrzeszenie. Wtedy omawiana była w okresie wielkich nadziei, niemal pewności zdrowia teatralnego, więc łatwo ją poniechano. Dzisiaj, po wielu latach szkodliwego działania narkotyków dorywczego repertuaru bieżącego, może ta idea podstawowa głębiej w umysły zapadnie i stworzy czyn...

Żeby nie błąkać się, jak wówczas się błąkano, po wydmach ogólników, zauważmy naprzód, że repertuar stały, jako wytyczna, nie stosuje się do teatru „wogóle", ani do wszystkich bez różnicy teatrów, ale tylko do teatrów o wyższym poziomie i celach górniejszych. Teatry lekkie, lżejsze i najlżejsze powinne, owszem, unikać repertuaru stałego, ich bowiem charakter i zadanie mieści się właśnie w repertuarze bieżącym i zmiennym, w poczuciu dnia, w ponętach nowości. Ale i na poziomie wyższym nie dla wszystkich teatrów nadaje się idea repertuaru stałego, a zależy to od wielu względów na charakter miasta i publiczności, oraz na ambicje i możności danego teatru. Istnieje natomiast pewien typ teatru, który już z założenia swojego powinien wspierać się na fundamencie repertuaru stałego. Takim jest, naprzykład, każdy teatr, nietylko z nazwy, ale i z treści, — narodowy.

Zacieśniliśmy tedy odrazu temat uwag niniejszych do jednego typu zjawisk, co dla przedmiotu zawsze jest rzeczą pożyteczną. Dla praktycznego zaś dobra sprawy uczynimy jeszcze lepiej, gdy temat rozprawy zaciśniemy raz jeszcze, do określonego konkretu teatralnego. W Warszawie siłą rzeczy będzie nim Teatr Narodowy. Zatrzymajmy się więc na tym teatrze, jakby to była jego sprawa wyłączna. Co tu omówimy, to przez analogję będzie mogło być zastosowane do każdego teatru, czującego w sobie zapał i siły do wprowadzenia repertuaru stałego.

Teatrem Narodowym, w Warszawie czynnym, nie nazywamy, oczywiście, tylko gmachu, gdzie on się mieści, ani danego zespołu teatralnego, którym on rozporządza. Jego treścią i duchem, które nazwę usprawiedliwić mają, musi być pewna określona idea dramaturgiczna, czyli, jak z nazwy wynika, rdzeń repertuaru, stworzony z dzieł dramaturgji. Ale nie tylko nazwa do wniosku tego prowadzi, jeżeli nie jest pustą, anonimową firmą kupiecką. Teatr ten, jako spadkobierca dawnego Teatru Rozmaitości, powstał, jak wiadomo, w chwili dla narodu polskiego wyjątkowej i wielkiej, a działalnością swoją otwierać ma nowy, jasny okres polskiej kultury teatralnej. Jest, przytem, teatrem stolicy, najważniejszym teatrem stolicy. W myśl tych założeń dźwiga on niecodzienne i nieprzeciętne obowiązki teatralnego przedstawiciela narodu polskiego. W takich warunkach i takim obowiązkom teatr nie może spostać bez repertuaru stałego.

Czem mianowicie jest repertuar stały, oceniony z punktu widzenia techniki i organizacji teatralnej? Trzeba to naprzód i wyraźnie zastrzec, że nie jest to jakiś, na cały rok zgóry obmyślony i rok po roku powtarzany, ciąg utworów dramatycznych, jedną ideą związanych. Byłby to repertuar martwy, a nie stały, dla teatru zabójczy, dla ogółu bez-

użyteczny. Repertuar stały ma składać się z niewielkiej ilości dzieł i zajmować małą ilość miesięcy w roku na przedstawienia, ale w tym czy w innym porządku powinien co rok się powtarzać. Jego skład może być uzupełniany, zmniejszany, lub powiększany — zależnie od doświadczenia, od powodzenia, od różnych okoliczności nieprzewidzianych. Ma to być, słowem, nie cały teatr, ale żywy i giętki kręgosłup, utrzymujący pion duchowego życia danego teatru, ma to być nie całe oblicze, ale zasadniczy wyraz oblicza teatralnego. Reszta repertuaru rocznego ma być tylko w poziomie ogólnym dostosowana do tego pionu i wyrazu, co teatrowi dość swobody pozostawi.

I jeszcze jedno zastrzeżenie techniczne. Do repertuaru stałego nie należy bynajmniej niezmienność i rutyna jednej reżyserji, jednych dekoracyj, jednego typu gry aktorskiej. Mogą one sobie trwać przez czas pewien, jeśli to teatr uzna za stosowne, lub mogą być zmienne. Rysem repertuaru stałego jest tylko dobór utworów dramatycznych, jedną naczelną ideą powiązanych. Zmiany w tym doborze, jak to już zaznaczyłem, nie naruszą stałości idei przewodniej, o ile będą poszukiwaniem najgłębszego, najprawdziwszego urzeczywistnienia tej idei. Zgóry należy być przygotowanym na to, że repertuar stały w swoich kształtach skończonych nie pojawi się odrazu, w ciągu jednego roku teatralnego. Minie z pewnością trochę czasu na doświadczeniach i błędach i wahaniach. Tak bywa wszędzie i zawsze.

A teraz zapytajmy wręcz, jaki to ma być mianowicie w ogólnym zarysie repertuar stały Teatru Narodowego w Warszawie? Pytanie, istotnie, „wręcz" i bardzo proste, ale odpowiedź na nie musi być nieco bardziej złożona i okólna. Naprzód: czem jest teatr w stosunku do dramaturgji? Dzieło dramaturgiczne w książce — to dopiero widmo dzieła, poetyckie, ale jeszcze bezcielesne, bezkrwiste, bezbarwne i bezkształtne widmo utworu, oczekujące na życie w teatrze. Tym sposobem teatr jest czemś w rodzaju żywego księgozbioru w stosunku do dramaturgji. Czytać jej dzieła można tylko w teatrze, zgłoskami jego rysunku, jego barw, jego życia całkowitego. Książkowa znajomość literatury dramaturgicznej jest tylko przygotowaniem, często — bardzo skromnem przygotowaniem do jej znajomości istotnej i pełnej. A tę nabywa się tylko przez realizacje teatralne.

Kiedy więc mowa o Teatrze Narodowym w Warszawie i jego obowiązkach wobec dramaturgji polskiej, stawiamy teatr ten przedewszystkiem w roli żywego księgozbioru, nietylko wobec tej dramaturgji, ale i wobec tak zwanej publiczności, czyli — wobec społeczeństwa polskiego. Tu bowiem nie można już widzów stałego repertuaru określać banalnem mianem: publiczność. Ze względu na wagę gatunkową tego repertuaru, publiczność owa — to naród polski, upostaciowany ciągiem pokoleń obecnych. Tu zatem Teatr Narodowy, jako żywy księgozbiór dramaturgji polskiej, otrzymuje drugą jeszcze rolę współrzędną — rolę wychowawcy, który musi dbać o to, żeby garnące się do niego tłumy i co rok nowe, napływające pokolenia młode, miały stale, rok w rok podawane, starannie dobrane główne dzieła dramaturgji. One tu właśnie mają być w scenicznem „przeczytaniu" po raz pierwszy poznane, chociażby w książkach uprzednio po dziesięć razy czytane były.

Tak pojęta, podwójna rola Teatru Narodowego zasadniczo i w sposób dostateczny określa, czem ma być, i na czem ma się wspierać jego repertuar stały. Wejdą do niego dzieła dwóch urodzonych i największych dramaturgów polskich — Fredry i Wyspiańskiego, może nie w całkowitej twórczości, ale przynajmniej ich utwory najlepsze. Następnie zaś, zapewne w ciągu historycznym, najbardziej typowe utwory dramaturgji polskiej od Kochanowskiego, poprzez Zabłockiego i romantyków do końca wieku dziewietnastego. Dobór szczegółowy musi być pozostawiony artystycznym władzom teatru, a następnie poddany publicznemu omówieniu w krytyce teatralnej. Sposób rozmieszczenia przedstawień repertuaru stałego w ciągu roku teatralnego należy, oczywiście, w zupełności do doświadczonych w tym zakresie ludzi teatru.

Zdaje mi się, że bez błędu można przewidzieć skutki takiego postawienia sprawy w Teatrze Narodowym: zwiąże go to najgłębszemi i najserdeczniejszemi węzłami z ogółem polskim, a tem samem stworzy dla teatru mocną, niewzruszoną podstawę materjalną jego istnienia. Podstawa materjalna z kolei rzeczy uruchomi skrzydła ducha teatralnego, któremi on znowu ogarnie ogół polski, co w dalszym ciągu jeszcze bardziej utrwali stanowisko teatru i do dalszego powoła go rozwoju. Tym sposobem, sądzę, w okresie pełnego panowania kin, kabaretów i band rewjowych Teatr Narodowy może orężem tak szlachetnym, od jednego ciosu uśmiercić grożącą mu wciąż zmorę ruiny i upadku.

A czy trzeba dodawać, jaki to będzie doniosły czyn dla polskiej kultury teatralnej? Dla sztuki aktorskiej, reżyserskiej, dekoratorskiej? Dla szerzenia poczucia teatralnego, dla znajmości dramaturgji polskiej, dla jej przyszłości twórczej? Wszak dzisiaj w polskiej warstwie oświeconej nie znajdziemy ani jednego człowieka, któryby mógł powiedzieć o sobie, że zna wszystkie główne dzieła dramaturgji własnego narodu. Ani jeden nie zna, ponieważ na przestrzeni lat czterdziestu, jeśli nie więcej, wielu z tych dzieł albo wcale w teatrach nie wystawiano, albo wystawiano je dorywczo, tu i ówdzie, w tem i owem mieście, w takiem rozproszeniu co do czasu i miejsca, że to jedno uniemożliwiło gonitwę za niemi i ich poznanie teatralne.

Gdzieś, komuś, kiedyś strzeli do głowy idea wystawienia „Bolesława Śmiałego". Wystawi go raz, gra w ciągu kilkunastu predstawień i na tem rzecz się kończy na lat dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści! Nic a nic nie przesadzam! Teatry w Polsce z karygodnem niedbalstwem odnoszą się do polskiej twórczości dramaturgicznej. Ich repertuary— to przygodne łapanie, co komu pod rękę wpadnie, a głównie ze sztuki wielu narodów obcych, najmniej ze swojej! Pogoń za nowością, za efektem, za przypadkiem, z okoliczności zrodzonym, węszenie za powodzeniem kasowem, czasami snobizm zwarjowanego dyrektora teatru, czasem zapędy polityczno-społeczne, albo teatralno-reformatorskie. Oto wszystko.

A to wszystko jest poniewierką teatru i własnowolnem zapędzaniem się w ruinę. W ruinę ducha i materji. A potem teatralnie się deklamuje, że publiczność popiera kina i rewje, psuje sobie smak i odwraca się od teatru! Ja sądzę, że to teatr odwraca się od publiczności — od tej lepszej, zwłasz-

cza od młodych pokoleń, które można ująć i porwać, ale ideą, a nie łataniem dorywczem i tandetnem. Gdy owa publiczność dowie się, że w Teatrze Narodowym ożył duch teatralny twórczości polskiej, gdy zrozumie, że to nie odruch chwilowy, ale trwały wysiłek celowy, że rok w rok znajdzie tam, w parogodzinnem zachwyceniu scenicznem, szkołę wielką, barwną szkołę życia i kultury rodzimej, można być pewnym, że poprze teatr ruchem samorodnym i żywiołowym. Reszty dokona odpowiednio zorganizowana propaganda, w samym teatrze i w prasie poprowadzona, oraz rozumna, a nie łapczywa kalkulacja pieniężna.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

DUSZA DOMU

MÓWI SIĘ: drzewa rosną powoli. Patrzę na długi rząd lip i nie mogę temu uwierzyć. Przecież upłynęło niewiele czasu — może dwadzieścia lat, — gdy tę aleję sadzono. A dziś już daje cień...

Droga ta prowadzi do młyna. Tuż koło dworu szumią prastare lipy-matki. Młodości ich nikt nie pamięta. Walczą z jesienną wichurą i ze spiekotą letnią. Osłaniają od lutych podmuchów dom niski, z dachem łamanym, bardzo zniszczony, wiekowy dom. Sadzone sposobem „białoruskim", jedno przy drugiem, drzewa zrosły się z sobą i utworzyły ścianę. W górze, pod zielonem, gotyckiem sklepieniem przelatują chmarami szpaki, pogwizdując przeciągle, zwłaszcza na wiosnę, — a później, gdy już lipa zakwitnie, huczą w parnej, pachnącej nawie pszczelne organy.

Właśnie w przedłużeniu starej alei ciągnie się młoda — aż do młyna. Była to nasza ulubiona przechadzka. Dziadzio, w żoninej pelerynce wielbłądziej, zarzuconej na ramiona, których dziewiąty krzyżyk nie przygarbił, szedł powoli, bo tutaj zwykle odmawiał różaniec... Od czasu do czasu przystawał przy któremś z młodych drzewek —i wskazywał mi dziki pęd, wyrastający u korzeni, albo na pniu, poniżej sformowanej korony.

Ostrożnie, aby nie uszkodzić cieniutkiej kory, wycinaliśmy nożykiem intruza... Robiliśmy to sami, codziennie potroszeczku. Ogrodnik miał zadużo pracy: było to przecież bezpośrednio po Wielkiej Wojnie, którą tak dotkliwie odczuły Kresy Wschodnie... Wszędzie ruina, zniszczenie, brak inwentarza, rąk do pracy... Ktoby się cackał z temi lipami. Akacje i białodrzew, pozostawione bez dozoru, rozrastały się w parku, jak chciały. Chude, zabiedzone szkapy miały aż nadto roboty, aby zaorać zagony, od lat leżące odłogiem... Gracowało się ścieżki, najbliżej domu położone. Inne bujnie zarastał chwast...

Wkrótce miałam odjeżdżać do miasta. Zawsze z wielkim żalem żegnałam dziadzia, bliskich, stary dom, który w każdym zakątku chował jakieś wspomnienie dziecinnych lat... Jednak wówczas, pamiętam, było mi wyjątkowo ciężko. Wybraliśmy się ostatniego dnia na zwykłą przechadzkę po lipowej alejce. Ale że to było po raz ostatni, więc zabrałam z sobą sekator i — tłumiąc gwałtem niesforne łzy, wycinałam z pasją ostatnie pozostałe pędy. Przyklękałam przy coraz innem drzewku, a dziadzio dreptał obok, szepcąc swój pacierz.

Nagle przestał poruszać wargami. Czułam, że już od dłuższej chwili patrzy na mnie. Podniosłam głowę i spotkałam jego wzrok, tym razem trochę smutny. Tak wymowne miał oczy, że mimowoli spytałam:

— Dziadziu?

Wtedy odezwał się jakby zakłopotany, jakby mu te słowa przychodziły z trudnością. A przecież m u s i a ł je powiedzieć.

— Widzisz, duszko... Chciałem cię o coś poprosić...

— O co, dziadziu...

— Chciałbym... Tylko mi nie przerywaj, duszko! Jak tu przyjedziesz znowu, a mnie nie będzie... Żebyś zmówiła Anioł Pański. Tu w tej alejce...

— Ależ, dziadziu. Co dziadzio... Naturalnie, przyjadę i będziemy razem mówili pacierze... Jak zawsze, z dziadziem..

Staruszek uśmiechnął się, a mnie nagle nieznośne łzy nie pozwoliły mówić dalej. Rzuciłam sekator i — ciągle klęcząc — przytuliłam głowę do starych, drżących kolan.. Nie mogłam powstrzymać się od płaczu. Rozżalenie przepełniło mi serce. Łkałam — a dziadzio głaskał mię po włosach i tłumaczył, zmartwiony:

— No widzisz... Zaraz płaczesz... Zaraz płaczesz... A to taka zwyczajna rzecz... Jestem już bardzo stary... Więc przyrzekasz mi duszko, że kiedyś... później... odmówisz Anioł Pański?...

— Tak... dziadziu... przyrzekam...

Przeczuł, że się już t u t a j nie spotkamy. Wkrótce przyjechał do Warszawy. Nie z własnej woli opuścił stary dwór — i lipową aleję — i krzyże na rozstajach... Wypędziła go z gniazda zawierucha wojenna. Kilka tygodni mieszkał u nas i u nas w domu — umarł. Do końca był pogodny, pełen otuchy, pełen wiary. A jednak miał w sobie coś z drzewa, które wyrwano z korzeniami i wywieziono z lasu. Poprostu n i e m ó g ł żyć za długo zdaleka od rodzinnych stron, od ziemi, z którą był zrośnięty, jak lipa..

Mijają lata. Zabliźniły się rany w sercach, zniknęły ślady wojny... Dwór z łamanym dachem ocalał cudem i ocalały stare drzewa. Lipowa alejka rośnie i dziś już daje cień. Chodzą po niej ludzie, śpieszący do młyna... Jak dawniej. I pozornie — wszystko jak dawniej: te same pola, te same lipy koło dworu, — tylko ludzie nie wszyscy ci sami..

Więc jednak c z e g o ś brak. Ale wystarczy, idąc przez lipową aleję, przymknąć na chwilę oczy: wtedy j e s t wszystko, tak jak było. Słychać zdaleka dzwon. Bije na Anioł Pański... Słychać zbliska znajome kroki. To dziadzio, w pelerynce wielbłądziej, zarzuconej na ramiona, których wiek nie przygarbił — szepce swoje pacierze.

Nie odeszła stąd d u s z a d o m u.

WANDA MIŁASZEWSKA

NA WIDOWNI

Literatura oderwana od życia. — Sama sobie obmierzła. — Gdzie przyczyna kryzysu i jak jej szukać? — Rzecz o światopoglądach i motorach. — Żydzi w literaturze.

ZNAMIENNĄ cechą życia umysłowego naszych czasów jest niepokój sumienia intelektualnego. Wyraża się on w literaturze pełnemi sporów i wyrzutów debatami nad zagadnieniem, jaką właściwie rolę ma pełnić piśmiennictwo, na jakim poziomie i czem ono stało się dzisiaj. Spostrzeżono się mianowicie, że literaturze obecnej w Polsce brak treści myślowej. Krążyły już pogłoski, że taki brak istnieje, ale dopóki mówiło się o tem w obozie narodowym, literatura, pozostająca przeważnie na obroku duchowym lewicy, puszczała to mimo uszów, owszem utrzymywała, że właśnie siłą twórczą pisarza jest dezorganizowanie tej myśli, która nadaje sens życiu zbiorowemu, a nawet jednostki, że przeto literatura wystrzegać się musi, jako obniżającej lot, wszelkiej treści myślowej, organizowanej z pierwiastków religijno-moralno-narodowych. Temu naturalnemu kompleksowi przeciwstawiano, ulegając duchowi dysolucji (rozwolnienie więzów) — sceptycyzm, relatywizm, kosmopolityzm, wogóle zaś wszelkiej idealizacji przeciwstawiając „rzeczywistość”, duchowi — materję.

Że to nie było jakieś zjawisko „powojenne”, to znaczy spowodowane wojną (jak to sobie w sposób uproszczony cały splot kryzysów teraz tłumaczymy), dowodzi choćby takie proste stwierdzenie faktu, że tak wielki epizod w dziejach, jak odzyskanie niepodległości, nie znalazł w literaturze polskiej należytego oddźwięku. Stwierdził to jeden ze świ啟atlejszych pisarzy obozu legalizowanego przez masonerję, p. Skwarczyński. Wywołał on oburzenie: jak to? A „my pierwsza brygada”, my, którzyśmy pierwsi stanęli po zapłatę za odzyskanie rzeczonej niepodległości, nie brani jesteśmy w rachubę! A nie. Choćby dlatego, że w tej pieśni niema ani melodji swojskiej, ani duchowej harmonji z życiem. Nie nawiążą tego intymnego stosunku ani przymus, ani fałszerstwa historjograficzne p. Pobóg-Malinowskiego. Związek z *duszą narodu* uważany był i przed wojną i po wojnie za „bogoojczyźniany”, poniżający i ośmieszający literaturę, a tego związku nie zastąpi przygoda z konjunktury, ani uniform. Trzeba wierzyć w życie, żeby tworzyć tego życia symbole. Cóż jednak ma robić z tem życiem pisarz, czem się zasilić, gdy cała istota życia streszcza się w żądzy bytu narodowego, a pisarzowi wystraszono z duszy czucie narodowe?

To czucie było już wystraszone z literatury przed wojną i wtedy zaczął się kryzys. Teraz ten kryzys spotęgował się jaskrawością absurdu, gdy się pokazało, że na dnie konjuktury leży nie miłość do żywiołu narodowego, lecz nienawiść, ta, która się werwała do literatury plugawym refrenem piosnki ułańskiej.

Panowie spieracie się teraz, szukacie wyjaśnienia, co się stało z literaturą, bo was przycisnął do muru absurd. Nie wystarcza panom horyzont i kanon p. Pomirowskiego w świeżo wydanej księdze mądrości literackiej? Przecież on skodyfikował ideały i realizacje tego okresu. To dziwne. Nie mam jednak chęci ironizowania, jestem temu wszystkiemu współczesny, współboleję i chcę mówić prawdę wprost.

Mam wrażenie, że spiętrza się nad poziom dzisiejszy sumienie polskie, aby wreszcie przezwyciężyć zbrodnię, dokonywaną systematycznie na duszy polskiej. Duch narodu albo będzie suwerennym we wszystkich funkcjach cywilizacji, albo nigdzie. W tym drugim wypadku, gdy się uznaje, że nawet Państwo może się obyć bez zależności od życia narodowego, niema najmniejszego sensu troskać się o literaturę. Wszystko jedno, czem wewnątrz będzie, aby nosiła uniform polski, uniform Litery polskiej. Może być nawet zetatyzowana i podlegać ministerjum spraw wewnętrznych. Bo co ma wspólnego z oświatą?

Bardzo znamienny w tych rekolekcjach Literatury jest głos p. Stanisława Ignacego Witkiewicza, o którego odczycie już raz wspominałem. Nazwał on dzisiejszy świat literacki w Polsce bandą błaznów, zabawiających zbydlęconą publikę, bandą skretyniałych matołków, podlizującą się publice, od niej zależną, wdeptującą umysłowość w błoto „rzeczywistości“, w materjalizm fizykalny, w sceptycyzm, relatywizm, nie mającą nikomu nic do powiedzenia, wykpiwającą się od Prawdy dowcipem. Dość już tego dowcipkowania, spoufalającego z bezmyślną publiką! Stan umysłów jest tak straszny, że już nie stać nikogo na świadomość tego stanu. Literatura stacza się wraz ze swoją publiką w kraj anarchji myślowej. Prelegent nawet powątpiewa, czy możliwy jest ratunek, czy nie zapóźno. Publikę bowiem można popsuć w parę lat, ale na odprostowanie jej potrzeba całych pokoleń. Literatura zapadła w mroki, skąd nie widać sensu i celu życia...

Czemuż mianowicie prelegent ten straszny stan przypisuje? Brakowi *światopoglądu*. A ten brak? Próżniactwu umysłowemu literatów. Więc zgodnie z tą djagnozą ratunek widzi w jednem tylko: w filozofji. Kształćcie się — woła — filozoficznie, zabierzcie się do „*problematyki filozoficznej*”.

Pan Witkiewicz w wykładzie swoim nie wskazuje żadnej dla ducha drogi między stanem bezmyślności i perwersji a stanem filozoficznym. Owszem, nawiasem nadmienia, że obojętne mu są dziedziny spraw moralnych, społecznych i narodowych. Jedynie doradza literatowi, aby *przystawił* do siebie filiozofję. Przecież literat umie czytać; niechże więc czyta, niech się rozejrzy w problematyce i niechże jakiś światopogląd sobie wybierze. Nie o to mu chodzi, żeby literat pisał potem w powieściach traktaty filozoficzne, żeby koniecznie miał przenosić czytelnika w dziedziny metafizyki, ale niechby ustawiać umiał rzeczy, o których pisze, w jakiejś perspektywie i oświetlał je jakiemś światłem konsekwentnem, aby czytelnik mógł dopatrzeć się w życiu jakiegoś sensu i wyższego celu.

Jednem słowem p. Witkiewiczowi podręcznik filozofji literatury, napisany przez kolegę Pomirowskiego, nie wystarcza. Trzeba studjować filozofję wogóle. Ale od tej porady aż ciarki po skórze chodzą. Gdyby to weszło w sezonową modę, gdyby każdy zaczął naśladować „demonów intelektu” czy „aniołów wiedzy absolutnej” tak, jak teraz naśladuje Boya, czy Tuwima, toby przecież nie starczyło Tworek i Drewnicy. Tutaj tkwi błąd, świadczący, że i reformator jest również dzieckiem swego czasu.

Bo to jest tak, jak z tym półkoszulkiem, o którym niedawno była mowa w naszem piśmie (w „Głosach“). Nosić półkoszulek na gołem ciele — to tylko pół-kulturek. Nie wystarczy komuś, dostosowanemu do chlewa, poradzić: przystaw sobie do chlewa

mały salonik — będzie komplet kultury, rzeczywistości i ideału. A mnie się widzi: nie będzie.

Dzieckiem swego czasu jest p. Witkiewicz dlatego, że w gruncie rzeczy jego pogląd na człowieka jest mechanistyczny. Szkołę takiego sposobu myślenia pokolenia powojenne zawdzięczają nie wojnie, lecz wcześniejszemu socjalizmowi, który wyżarł z duszy organiczność. Obecny kryzys moralności i literatury tutaj ma swoje źródło. Czasy, kiedy młodzież kształcono w marksizmie, były okresem dziwnego humanizmu, który nie miał w sobie miejsca dla człowieka. Ma rację p. Witkiewicz, przypisując znaczenie długościom okresu, w którym czegoś „publikę" się uczy lub czegoś oducza. Budowla cywilizacji może przetrzymać w równowadze tylko krótkie okresy pustki; można bez niebezpieczeństwa wyjmować z wieży poszczególne partje cegieł, stemplując drzewem, ale w tym wypadku mamy do czynienia z przerwą kultury humanistycznej długą na parę pokoleń. Mieliśmy możność stwierdzić, patrząc osobiście na te czasy, że pierwsze pokolenie socjalistyczne, pomimo zmiany światopoglądu i terenów oddziaływań, trzymało się jeszcze stylu kultury, w której wychowano je w domu, ale z następnem było już gorzej, gdy znalazło się w pustce. P. Witkiewicz, mówiąc o dzisiejszych „dzikusach", tę historję powinien mieć w oczach. Długotrwałość tego okresu przecięła tradycje wielkiej literatury. Żeromski przynajmniej w połowie wiąże się z epoką Sienkiewiczów i Prusów. Talent jego dawał wiele powabu dziełom, chociaż się wykręcał boleśnie i deformował przez połamanie światopoglądów; on jednak i ze swego socjalizmu dobywał poetyckie promienie, kładąc weń wiele romantycznego marzycielstwa poprzedniej epoki. Następcy wszakże jego oderwali się już od dziejów ducha polskiego; nie mają owych „rezerwoarów napięć duchowych", które tak dobrze służyły pisarzom XIX wieku.

Kto nie chce zakłamywać siebie i innych i naprawdę pragnie zbadać przyczyny obecnego stanu bezduszności literatury, ten nie może traktować nawiasowo powyższego zjawiska historycznego. Ja wiem, że metoda historyczna nie jest w modzie; postarano się o to. Nie jest też w modzie metoda badań psychologiczna, ona bowiem wykrywa w organiźmie tworzącym obecność ciał obcych. Cały aparat krytyki literackiej postarano się tak nastawić, żeby nie był zdolny wypatrzeć w literaturze człowieka tworzącego, aby zagadnienie podmiotu twórczego było niebadane, żeby natomiast patrzono na zjawisko, nazywające się „Literatura", mistycznie, jako na rzecz, mającą swoją jedyną rację i źródło w indywidualnym darze natury — talencie, bez żadnego związku funkcyjnego z życiem.

P. Witkiewicz z irytacją mówi o magach talentu, utrzymując słusznie, że talent w pisarstwie nie jest wszystkiem, bo trzeba mieć też tworzywo, a tem tworzywem w literaturze są stany ducha, przedewszystkiem myśl. I tu właśnie zachodzi kwestja, czy ten obszar życia duchowego można nazwać jednym wyrazem „światopogląd", którym oznaczamy tylko stan intelektualny — poznawczy. Ale o tem kiedyindziej.

Zależy bardzo na zrozumieniu zjawiska bieżącego w genezie historycznej. Nie dość jest w krytyce wymyślać faktom dosadnemi epitetami, nie wystarczy stwierdzić zło i domagać się wielkim głosem odmiany; trzeba także odszukać miejsce, gdzie się twórczość odczepiła od d y n a m i k i życia duchowego i wskazać przyczynę zastoju. Literatura obecna (mówimy o t. zw. pieknej literaturze) robi wrażenie aparatu, który ma przerwany kontakt z dynamiką środowiska. Stała się *lux de non lucendo*. Świecimy sobie szabasówkami, dosłownie szabasówkami. Nie ma też twórczość i tej siły motorycznej, która pozwala p r z e t w a r z a ć rzeczywistość. Literatura patrzy tylko na tę „zastaną" rzeczywistość, jak wół na nowe wrota, ale nie ma zgoła do niej dostępu twórczego; dlatego tak bezkrytycznie, infantylnie, z podziwem zabobonnym patrzy na pomoc aparatu państwowego i przysiada się do niego, nie zdając sobie sprawy, skąd się bierze jego siła materjalna i mechanika.

Historja literatury już dziś znaleźć może ten moment utraconego kontaktu organicznego z życiem. Zniszczył „publikę", a z nią literatów prąd umysłowy, połączony z praktyką, więc sięgający głęboko, prąd materjalizmu połączony z praktyką liberalizmu i socjalizmu, skierowany przeciwko dziejom ducha poskiej cywilizacji. Ten poczynił spustoszenia. Nastał okres żydowszczyzny.

Moja teza jest taka: Siła krwi (jako jej tętna i pierwszego impulsu) jest tak wielka, że bez tego współczynnika żadna doktryna nie mogłaby utrzymać się w działaniu p r z e t w ó r c z e m przez czas dłuższy. Potrzebna jest ona tworzeniu cywilizacji, potrzebna jest i tym, którzy cywilizację planowo burzą. W tym planie socjalizm marksowski był etapem sięgania w masy, ale sam plan na dłużej utrwalił się wśród liberalnej inteligencji przez związek z działalnością masonerji. Czynnikiem „twórczym" w tem pracowitem wywracaniu naszej aryjskiej cywilizacji jest nie doktryna (ta jest tylko pomocą), lecz krew. Inna, obca, biegunowo różna cywilizacja rzuca w naszą glebę swe zarody, organizuje swe pędy i naszej cywilizacji przetwarza strukturę. Czyjaż to krew zapłodniła tę epokę?

Otóż, rzeczą krytyka jest nie tylko spostrzec fakt zewnętrzny, ustalić jego historję i wykryć jego twórców; należy zanalizować psychologicznie, do podłoża krwi czynniki motoryczne, współpracujące w danym okresie przełomowym; czy one mogą się sharmonizować we wspólnej twórczości tak, aby ta robota miała jakiś sens dla cywilizacji.

Panowie w tem miejscu zaczniecie krzyczeć, lub śmiać się... sztucznie. Powiecie wreszcie, że tak stawiana kwestja przekracza ramy krytyki literackiej, że dziejów kultury tyczy. Zapewne można uciec z placu, aby uniknąć rozprawy zasadniczej. Literatura jest wziernikiem, przez który krytyk musi zajrzeć w oczy epoce. A jeśli tak, to mu potrzebna metoda i historyczna i psychologiczna. Trzeba dotrzeć do pierwiastków.

Kierowany tą myślą przed wypowiedzeniem tego, co wyżej, dokonałem w ostatnich tygodniach (nr. 1 i 6) na próbę paru analiz liryki, umyślnie liryki, bo w niej wypowiada się człowiek do dna. Jak panowie sądzą: czy z tych składników duchowych, które tam pokazałem, można budować strzeliste wieżyce cywilizacji?

O cywilizacji polskiej w żadnym razie niema gadania. Ale nawet nie wiem, gdzieby się czepił tych dusz jaki „światopogląd", sięgający — jak chce p. Witkiewicz — w „wyższe cele istnienia". Żydzi zresztą nie są od światopoglądów, wystarcza im talmud. Światopoglądy mniej lub więcej modne wytwarzają za nich loże. I tych błotnych ogników mamy już dosyć.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

„MYŚL NARODOWA“ DOPOMINA SIĘ O TO, aby w prasie polskiej ustała „kampanja oszczerstw przeciw ruchowi narodowemu w Niemczech“. Żądanie to wydaje się naczelnemu publicyście „Kurjera Warszawskiego“ właściwie bezprzedmiotowe. „Prawdę powiedziawszy, podobnie zdrożnego przedsięwzięcia nie zauważyliśmy w głównych organach prasy polskiej“—oświadcza p. B. K. Oświadczenie to pozwala stwierdzić różnicą zdań zupełnie prezycyjnie. Publicysta „Kurjera“ nie zauważył nic zdrożnego, my zauważyliśmy coś rażącego. „Ponieważ nie mamy, niestety, czasu na czytanie wielu pism prowincjonalnych, tudzież różnych perjodycznych stołecznych, przeto nie posiadamy tytułu do kwestjonowania trafności spostrzeżenia „Myśli Narodowej“—dodaje p. B. K. Ale czy np. „Gazeta Polska“ jest pismem prowincjonalnem? Nie bierzmy słowa metaforycznie. Stwierdźmy: pismo stołeczne, niewątpliwie jeden z „głównych organów prasy polskiej“. I przypomnijmy sobie. że stosunek tego organu opinji do Niemiec hitlerowskich niemniej był lojalny i rzeczowy, niż prezesa komisji spraw zagranicznych sejmu, który... nawet walkę z marksizmem uznał za przejaw niskiej wartości moralnej społeczeństwa niemieckiego. „Zapowiedzi walki z marksizmem. Są to wszystko środki, które tylko w społeczeństwie bardzo zdenerwowanem i o niskiej wartości moralnej mogą prowadzić do celu“ (p. „Gazeta Polska“ z 23. II. 33). Kontrast między zmianami, zachodzącemi w Niemczech i stanem rzeczy w Polsce, pobudził w istocie publicystów do gratulowania społeczeństwu polskiemu jego cierpliwych nerwów i wysokiego poziomu moralnego. Zapewne, powinszowania te nie były oszczerstwami. Ale oszczerstwem niewątpliwem była pogłoska, która obiegła całą prasę polską i uporczywie wmawiała, że Hitler jest żydem. I czemże, jak nie oszczerstwem, nadzwyczaj dla narodu europejskiego obraźliwem, był efektowny frazes: „wojna Niemiec przeciw cywilizacji“? Taki żyd, korespondent „Gazety Polskiej“ z Anglji, do tego stopnia mógł być cywilizacji europejskiej obcy, że nie rozumiał nawet wyrazu „opactwo“, ale umiał na naczelnem miejscu w „Gazecie“ podsumować sytuację: „*Germania contra Judaeos*, czyli: wojna Niemiec przeciw cywilizacji“. Powyższe cytujemy tytułem przykładu: ale przecież bardzo gruby tom możnaby zebrać, układając antologję podobnie nielojalnych informacyj i wzmianek. Czy okoliczność, że żydzi są w tak dużym procencie korespondentami PAT-a, a także różnych pism stołecznych, odjęła wypracowaniom ich na temat sytuacji w Niemczech wszelkie cechy tendencyjności i przyczyniła się do stłumienia w zarodku kampanji szkalowania?

Byliśmy w ciągu zeszłego roku świadkami potężnej reakcji organizmu narodowego Niemiec na wyniszczające go oddawna drobnoustroje. Tak się złożyło dziwnie, że większość organów opinji u nas ustosunkowała się do tych faktów perwersyjnie, jakgdyby los organizmu o wiele mniej ciekawy był, niż los mikroba.. Nie ułatwiło to czytelnikom wmyślenia się w sens istotny dokonywającego się w Niemczech przewrotu. Odczuto wprawdzie powszechnie, że nasz sąsiad zachodni organizuje swoje życie na zasadach, więcej sprzyjających rozwinięciu energji narodowej i ocaleniu zdrowia. Ale na potęgowanie siły niemieckiej egzaltowanie własnej słabości nie będzie napewno skuteczną odpowiedzią. Jeśli reformy hitlerowskie mają być dla narodu niemieckiego źródłem siły, to niewłaściwe jest wyrażane przez część prasy w Polsce zadowolenie, że u nas nic się w duchu narodowym nie reformuje. Jeżeli Niemcy niecierpliwie idą naprzód, to niewiele pociechy znajdziemy w refleksji, że stoimy cierpliwie w miejscu. W każdym razie reakcja nienawiści na przewrót niemiecki nie jest ani stosownym ani rozsądnym odruchem. Pragniemy siły dla Polski; zresztą nie życzymy Niemcom rozkładu. Przeciwnie, raduje nas wszystko, co przyczynia się skutecznie do salwowania tych prawdziwych i głębokich wartości cywilizacji niemieckiej, które są równocześnie wartościami ogólno-europejskiemi. Ma się rozumieć, nie szukamy dla Polski zbawienia we wzorach niemieckich. Dumę swą zasadzamy na innym zupełnie stylu naszej cywilizacji. Tradycje życia publicznego w Polsce niepodobne są do niemieckich. Rządność dawnej Rzeczypospolitej, to styl cywilizacji, jakiego Niemcy nigdy nie osiągnęły. Odruch solidarności europejskiej w sercu Polaka każe mu jednak sympatyzować z kierunkiem dążeń, które usiłują w Niemczech przywrócić pewnym europejskim tradycjom ich poważne znaczenie. I nawet niezdarne wysiłki odnowienia tradycyj europejskich wydawać się mogą ze stanowiska estetycznego piękniejsze, niż najsprytniejsze próby założenia — Judeopolski...

NAUKA I LITERATURA

PISMA ESTETYCZNO-KRYTYCZNE K. BRODZIŃSKIEGO

GABINET filologiczny Tow. Naukowego Warszawskiego rozpoczął, zamierzone przez się, wydawnictwo pism pisarzy drugiej połowy XVIII wieku i pierwszej ćwierci XIX, poprzedzających bezpośrednio romantyków, od wydania „Pism estetyczno-krytycznych“ najwybitniejszego preromantyka naszego, Kazimierza Brodzińskiego. (Tom 1-szy str. 419; tom 2-gi str. 336. Opracował Aleksander Łucki. Warszawa 1934 roku. Z zasiłku Funduszu Kultury Narodowej).

Nie potrzebujemy długo rozwodzić się nad tem, jak brak zbiorowych i krytycznych wydań pism wspomnianych pisarzy dawał się dotkliwie uczuwać badaczom literatury, zwłaszcza tym, których przedmiotem studjów były dzieje rozwoju piśmiennictwa romantycznego. To też należy przyklasnąć inicjatywie Gabinetu Filologicznego T. N. W. i życzyć powodzenia jego przedsięwzięciu, tem bardziej, iż wydane obecnie dwa tomy pism estetyczno-krytycznych Brodzińskiego świadczą dobrze o tegoż kierownictwie.

Pisma te opracował zasłużony badacz K. Brodzińskiego, ś. p. Aleksander Łucki, któremu, niestety, nie dane było (zmarł 1931 r.) doprowadzenie zamierzonego dzieła do końca. Do zebranych wszakże pism Brodzińskiego, kontynuatorzy pracy zmarłego nie wiele mieli już do dodania — zaledwie parę drobniejszych rozpraw przez niego nieuwzględnionych.

Obydwa tomy zostały wypełnione pismami estetyczno-krytycznemi, jak je nazwał sam Brodziński w prospekcie swego wydania, zamierzonego na trzy tomy, z 1830 r. Są to artykuły i rozprawy z dziedziny krytyki i estetyki poezji. Podstawą wydania niniejszego, wobec braku autografów, są pierwodruki, z pominięciem przedruków, dokonanych po śmierci Brodzińskiego. Zasadą wydania było wierne oddanie

tekstu Brodzińskiego, przyczem pisownia została umiarkowanie zmodernizowana.

O tem, że badacze literatury naszej wdzięczni będą sekcji filologicznej Tow. N. W. za staranne wydanie tych pism K. Brodzińskiego—można być pewnym! Czemże jednak mogą one się przysłużyć zwykłemu, dzisiejszemu miłośnikowi rzeczy literackich? Najsampierw tem, czem się sam Brodziński tak wybitnie zaznacza w jego przełomowych czasach — jako krytyk i estetyk, mianowicie tą „miłą tolerancją" — jak powiąda — stosowaną w ocenie sprzecznych prądów literackich, rozmaitych dzieł ducha twórczego.

Następnie — rzetelnością sądów swoich estetyczno-krytycznych, nietylko odznaczających się umiarkowaniem, lecz i dobrem umotywowaniem; a w końcu i tem, że w poglądach jego na sprawy twórczości literackiej sporo odnaleźć można rzeczy mądrych, nietylko na swój czas, lecz i na czasy następne. Oto np.: „Jedni utrzymują, iż niezachowanie prawideł jest przyczyną mierności i wszelkich wad poezji nieklasycznej; drudzy przeciwnie, iż swoboda genjuszu, wolna od tychże prawideł, stanowi całą wielkość i piękność jego utworów. Ale Homer jest klasycznym bez znajomości przepisów, inni są według przepisów nudni. Ani więc prawidła ujmują zalet poezji, ani jej same przez się stanowią. Przecież, gdy niezawsze niewolnicze dopełnienie przepisów rozsądek oznacza, gdy genjusz sam utworzył pierwsze prawidła, i nowe utworzyć jest w stanie, wolę zawsze, gdyby mi przyszło wybierać, gdy człowiek pisze dla człowieka, niżeli gdy trwożliwy poeta dla krytyków pracuje". (p. „Listy o literaturze". Str. 298. Tom 1-szy).

Takich i t. p. poglądów i uwag bardzo wiele w pismach Brodzińskiego odnajdzie, z pożytkiem dla siebie, dzisiejszy ich czytelnik.

W. J.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Wspaniałą gwiazdkę sprawił Gustaw Morcinek młodzieży przez nową, prześliczną powieść p. t. „Gwiazdy w studni" (Księgarnia Sw. Wojciecha). Powieść ta jest dokumentem ciężkich czasów, jakie przeżywa współczesny Śląsk, a więc, ujmuje ona w epicznym opisie nędzę, ale i hart dzisiejszego górnika, który codziennie w najokropniejszy sposób naraża swe życie w kruchych „bieda-szybach", by swym dzieciom zapewnić chleb, by uniknąć ostateczności: żebrania. Dobrze, że się młodzieży daje do ręki takie powieści, powieści społeczne, których nicią przewodnią jest kult pracy, kult siły charakteru i woli wytrwania w najcięższych okolicznościach i najtrudniejszych chwilach, jakie życie z sobą niesie. Dobrze, że młodzież w ten sposób styka się z bolesną rzeczywistością, poznaje, że życie to walka, do której dobrze przygotować się trzeba. W ciągu powieści przewija się przed oczyma młodego czytelnika cała galerja typów śląskich: górników ze Śląska Górnego i rolników z Cieszyńskiego, Ślązacy młodzi i starzy, dobrzy i źli—ale dobrzy przeważają—zgodnie z rzeczywistością, dowiaduje się dalej czytenik, jak serdecznie ukochał Ślązak przyrodę, jak miłuje zwierzęta, jak praktykuje codzień i na każdym kroku najwznioślejsze przykazanie Boskie i ludzkie: Miłuj bliźniego swego. Morcinek unika moralizowania, dydaktyzmu — wszystko, co się dzieje, ma swe przyczyny naturalne i kończy się rezultatem naturalnym — niema nic wymuszonego, nic naciąganego. Dowiódł Morcinek, że potrafi być równie dobrym pisarzem dla młodzieży — jak nim jest dla starszych. „Gwiazdy w studni" z równym pożytkiem i równą satysfakcją przeczyta i dorosły. (A. J.)

*

„Obrazki z powstań górnośląskich" Ludwika Łakomego, (Bibljoteka Żołnierza Polskiego — Warszawa) nie wznoszą się ponad przeciętny poziom i nie potwierdzają pokładanych w autorze nadziei. Skomponowane są zręcznie, akcja dość żywa—ale nie odznaczają się ani specjalną oryginalnością ujęcia tematów, ani nie uzupełniają literatury tego przedmiotu przez nowe szczegóły lub nieznane fakty. Autor padł ofiarą swej niesłychanej pracowitości i rozpraszania się na zbyt wiele dziedzin. Wydał przecież w ostatnich czasach pracę o Hitlerze, napisał powieść fantastyczną p. t. „Gwiazda Betlejemska" (tło śląskie) i wydał świeżo pierwszy tom literatury śląskiej, który omówimy osobno. Ten pośpiech, taka gorączkowość pracy, ta różnorodność tematów musiała się odbić na wartości poszczególnych prac, w których dużo jest ciekawego materjału, jednak niedostatecznie wykorzystanych, nie dość jasno podanych. Szkoda by było żeby dr. Łakomy, inteligentny i zdolny pisarz, doskonale się zapowiadający, przez brak umiaru w pracy, przez zbytni pośpiech i zbytnie rozpraszanie się na rozmaite dziedziny, zrezygnował z ambicyj artystycznych, stał się popularyzatorem.

(A. J.)

*

W pierwszych latach rewolucji komuniści rosyjscy chcieli zaprowadzić według swoich wzorów ustrój bolszewicki na całym świecie. Skoro to się nie udało, zastosowano z biegiem lat inną taktykę. W każdym kraju przeprowadzi się rewolucję komunistyczną odpowiednio do warunków. Są nawet kraje w Europie, w których zmienia się ustrój stopniowo, etapami, zmierzając do komunizmu coraz wyraźniej przy pomocy dekretów prawodawczych i rozporządzeń administracyjnych. W takim kraju stanowiska naczelne dzierżą zamaskowani komuniści. Jest to cząstkowa metoda realizowania komunizmu na terenie grup narodowych, aż się wkońcu dojdzie do zrealizowania „kolektywnej całki międzynarodowej". Myśl o tej taktyce nasuwa książeczka Jana Stachniuka „Kolektywizm a naród", wydana nakładem Związku polskiej młodzieży demokratycznej (Poznań, 1933, str. 102), Pomijając zbyt sztuczną w swej uczoności filozofję społeczną autora, zmierzającego krętemi ścieżkami do komunizmu, wystarczy nadmienić, że — według p. Stachniaka — nacjonalizm polski jest pożałowania godny, ośrodek to bezwładu i obskurantyzmu społecznego. „Nacjonalizm polski" — pisze apodyktycznie autor — „wydał na siebie wyrok śmierci". Ale rozumiejąc dobrze, iż naród jest żywą treścią w procesach społecznych, p. Stachniuk napisał całą książkę, aby „uzgodnić" naród z komunizmem czy też komunizm z narodem. Z powodów taktycznych komunizm nazywa stale kolektywizmem. Tezy „komunizmu narodowego" są takie: awangardą narodu jest jego klasa robotnicza; naród musi stać się tworem bezklasowym; zaniechać trzeba uniwersalnego zaprowadzenia komunizmu; trzeba zastosować metodę rozwiązań cząsteczkowych; w Polsce trzeba zastosować flirt komunizmu z narodem; dla ułatwienia realizacji tego flirtu komunizm zostanie nazwany kolektywizmem. (A tym kolektywizmem, czyli komunizmem, ma być system monopolistyczny w ramach jednego państwa).

Nie ulega wątpliwości, że kierownicy międzynarodowego przewrotu, to mądrzy ludzie. Należy uważnie patrzeć na to, co się wkoło nas dzieje i wyciągać wnioski. (W. R.)

*

Publiczność polska znała dotąd Giovanniego Papiniego bardzo jednostronnie, a mianowicie z dawnych jego, antychrześcijańskich książek, tłumaczonych przez W. Rzymowskiego. Dopiero w ostatnich latach pomyślano również i o spolszczeniu późniejszych dzieł włoskiego pisarza, datujących się z epoki po jego nawróceniu. Pisaliśmy na tem miejscu o Sw. Augustynie, wydanym w przekładzie Antoniny Brzozowskiej przez Krakowskie Wydawnictwo Literacko-Naukowe. Ta sama tłumaczka spolszczyła z kolei najobszerniejsze i zapewne najbardziej oryginalne dzieło Papiniego (Kraków, Wojciech Meisels), noszące tytuł intrygujący: „Gog". Klucz do tego tytułu dał sam autor, przytaczając w nagłówku *motto* z Apokolipsy. Widocznie epoka, przepowiedziana w „Apokalipsie", wydaje się Papiniemu bliską, skoro akcję swej powieści umiejscowił w czasach obecnych. Czy to zresztą powieść i czy można tu mówić o akcji? Gdyby chodziło o określenie, czy wskazanie rodzaju literackiego, możnaby wspomnieć staroświeckiego typu utwory, różne „wędrówki", w których moment kinetyczny był tylko pretekstem, tylko środkiem, do powiązania szeregu spostrzeżeń, poczynionych przez autora w różnych odległych od siebie miejscach, często nawet czasach. Brak słynnych „trzech jedności" (z których nawet jedność akcji się prawie nie ostała) bywał zastąpiony w takich utworach inną jednością: jednością tematu (a przynajmniej jego paralelności), najczęściej zaś jednością osoby nietyle bohatera ile raczej obserwatora. Tego typu utwory bywały i w misterjach czy moralitetach średniowiecznych, z których wywiódł się u nas „Marchołt", a w znacznej mierze i „Wesele". Umyślnie tu wspomniałem te dwa dzieła, bo i one, jak „Gog", mają w swem założeniu nicowanie dzisiejszości. Tylko że utwór Papiniego, jak „Peer Gynt" Ibsena, wychodzi poza ramy jednego narodu.

Ów Gog to rasowy mieszaniec, mieszaniec tego typu, w którym skrzyżowanie krwi dało reakcję silną, ale niezawsze korzystną, raczej ujemną: „Przyszedł na świat na jednej z wysp hawajskich z tubylczej matki i nieznanego, ale bez-

wątpienia białej rasy, ojca". Ferment krwi nie ukończył się w nim przez całe życie. Stąd to Gog szarpany był ciągłym niepokojem i miotał się w skrajnych przeciwnościach: „Będąc nieukiem, chciał posiąść tajemnice najbardziej wyrafinowanych przypraw gnijacej kultury". Jest to nowoczesny Trymalchjon, szastający pieniędzmy na wszelkie dziwactwa i ekscesy, a mający nietyle aspiracje kulturalne, ile raczej ciekawość barbarzyńcy, starającego się przekonać, jak to też u tych ludzi kulturalnych wygląda. Jego wywiady z najsławniejszymi ludźmi (Lenin, Hamsun, Wells, Ghandi, Einstein, Freud, Shaw), są nacechowane tonem satyrycznym; najciekawszą jest rozmowa z Benrubim o sprawach żydostwa. Inną serję rozdziałów tworzą te, któreby można od jednego z nich nazwać „Przefasonowanie ziemi"; — mówią one o zmianach, jakie dałoby się wprowadzić w świecie i społeczeństwie — tylko z celem i skutkiem jakim?... Czy człowiek będzie istotnym władcą kosmosu?

Całość książki w tonie i szczegółach niekiedy mocno przypomina starego Swifta, oczywiście nie tego dla dzieci.
(J. B.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Aktualne dziś zagadnienie spółek akcyjnych porusza broszura d-ra Josefa Alftera, nosząca tytuł *„Die Lebensgeschichte der Aktiengesellschaft in theoretischer Beleuchtung"*, a stanowiąca zeszyt 19 wydawnictwa p. t. *„Bonner Staatswissenschaftliche Untersuchungen"*. Obok bardziej teoretycznych zagadnień, jak rola przedsiębiorcy i kapitalisty w ustroju kapitalistycznym, w szczególności w spółce akcyjnej, broszura porusza bardziej praktyczne tematy, dotyczych spółek akcyjnych, przy wykorzystaniu materjału statystycznego. Wadą broszury jest brak idei przewodniej, co utrudnia zrozumienie myśli autora w poruszanych przezeń kwestjach specjalnych. (J. P.).

TEATR

KUPIEC WENECKI W TEATRZE POLSKIM

Po zarżnięciu „Kościuszki pod Racławicami" i „Aszantki" Teatr Polski zarżnął „Kupca Weneckiego".

Publiczność o widowisku wyrażała się w antraktach w ten sposób:

— Ależ to kryminał!

— Nudniejszej sztuki w życiu nie widziałem.

— Że też im się chciało wywlekać na scenę taką zwietrzałą starzyznę!

Z „Kupca Weneckiego", który przez stulecia uchodził za arcydzieło — zrobiono przeraźliwie nudną piłę, pomimo że rozporządzano tak znakomitemi siłami aktorskiemi, jak Kazimierz Junosza Stępowski oraz Wojciech Brydziński.

To doprawdy — sztuka!

Sztuki tej dokazał pan Ryszard Ordyński, reżyserując widowisko w manierze reinhardtowskiej, ale nie posiadając pomysłowości i talentu Reinhardta.

Tyle akcentu położono na momenty czwartorzędne, że momenty najważniejsze zostały kompletnie zagłuszone. Księciu marokańskiemu w interpretacji pana Sochy i księciu aragońskiemu w interpretacji pana Grabowskiego pozwolono się zgrywać tak długo i tak jaskrawo, że gra Stępowskiego (w roli Szajloka) i gra Brydzińskiego (w roli Antonia) — bladła i przygasała.

Stępowski i Brydziński opracowali swoje role bardzo starannie. I jeden i drugi włożyli w nie całą rzetelność artystyczną. Gdyby reżyser nałożył postaciom drugoplanowym należyte tłumiki, gdyby poskromił niewczesne ambicje komparsów, gdyby stonował jaskrawizny — Stempowski i Brydziński podbiliby niewątpliwie serca widzów. Niestety — musieli podporządkować się zespołowi, bardzo źle wyszkolonemu i złożonemu z aktorów najniewłaściwiej dobranych.

Panna Romanówna — to nie Porcja. To w najlepszym razie Porcyjka.

Pan Kreczmar do roli Bassania nie nadaje się zupełnie tak samo, jak do roli Łońskiego. Pisaliśmy już, zdając sprawę z „Aszantki", że zdolny ten aktor nie posiada ani jednej cechy typowego „złotego młodzieńca".

Pan Karpiński Lancelota grał bez dostatecznego humoru. Nadrabiał humor fikaniem koziołków. To nie wystarczyło, żeby salę rozweselić.

Jessyka nie była ani odrobinę żydówką. Neryssa i jej kochanek wyglądali karykaturalnie.

Dekoracje bardzo złe. Scena tak przeładowana domami, schodami, masztami, nie mogącemi się ani rusz zmieścić pod sklepieniami mostów — że trudno było widzom skupić uwagę na grze aktorów.

Jednem słowem klapa.

Bardzo możliwe, że „Kupiec Wenecki" wypełni w Teatrze Polskim długi szereg wieczorów. Można przemocą zapędzić tam szkoły i urzędników. To pewne jednak, że nikt nie pójdzie na owe widowisko dla przyjemności.

ZASTĘPCA

FILM

CASINO: „Parada rezerwistów", film krajowy.

Ta komedja, jak głosi afisz: „wojskowa", nadaje się do wyświetlania w kinach garnizonowych. Także i pewna część płci pięknej, która w równej mierze obdziela rycerzy Marsa swem sercem, jak i kotletami, obejrzy film z przyjemnością. Cóż ma począć jednak reszta ludności, cywilna i nie gotująca? Dlaczego mamy być gorsi? Czasy są demokratyczne, ale i nam przecież też coś się należy. Trzeba pomyśleć i o nas.

Nie sztuka wziąć dobrych aktorów i nic nie zrobić, sztuką jest wygrać wszystko przy pomocy zwykłego materjału. Ale w takiej sytuacji musi pracować i myśleć, zdobywać się na pomysły przedewszystkiem reżyser. Reżyser tutaj—to leń, albo półinteligent, scenarjusza wogóle niema. Rzecz cała idzie od sceny do sceny, a właściwie jest tylko zlepkiem scen. Za reżysera i scenarzystę musi pracować murzyn naszych filmów — aktor. Aktórzy są bardzo zdolni (tu mamy pyszną trójkę komików: Dymszę, Waltera i Sielańskiego) i w tem właśnie przynajmniej pół biedy. Poco właściwie istotny twórca filmu, reżyser, ma się wysilać, kiedy aktor i tak da sobie radę? Stąd zasadnicza wada wszystkich naszych filmów komicznych: operowanie aktorem tak, jak w kabarecie. Źródło efektów komizmu filmowego nie mieści się w samej tylko postaci aktora.

Leży niejako poza nią. Dowcip filmowy wypływa raczej z sytuacji, film wesoły powinien być naszpikowany zabawnemi pomysłami, a nie grą aktorów, zabawiających swą gestykulacją, ruchami, mimiką, względnie śmiesznemi powiedzonkami. Sens czynności aktora powinien nas śmieszyć, a nie ich treść plastyczna.

W „Paradzie rezerwistów" dobra jest mówka w ogródku, Dymszy, pojęte jako właściciela restauracji. Potem dobre i trafnie filmowo pojęte zestawienie nonszalancko-naiwnego zachowania się cywila, z atmosferą wojskowej lakoniczności. To był właściwy punkt wyjścia i po tej linji trzeba było poprowadzić film.

Dalej — nuda. Przeraźliwe ubóstwo pomysłów (kilka bezczelnie ściągniętych), tępota dowcipu, niestaranne opracowanie, nawet efektów podanych i sympatyczni aktorzy. Dymsza ściąga ze stołu serwetę, owija się nią i tańczy. Owszem, ale to nie film.

Panna Mankiewiczówna śpiewa melodyjnie, tylko nie powinni robić z nią, t. zw. zbliżeń.

Montaż b. ubogi, chwilami niedołężny, nie wiąże scen w należycie płynną całość.

KANDYD

MUZYKA

ROCZNICA dwudziestopięcioletnia śmierci Mieczysława Karłowicza została uczczona przez Warszawskie Towarzystwo Muzyczne akademją—koncertem, urządzonym w sali Konserwatorjum dnia 8-go lutego, a przez Filharmonję porankiem popularnym... Jeśli chodzi o poranek, to nie tyle zaszedł tu fakt uczczenia co raczej zignorowania Kałowicza, kompozytora, który, pomijając już pozycję, jaką zajął w sztuce, tyle uczynił dla polskiej muzyki symfonicznej i tak był związany z Filharmonją warszawską. Gdyby intencją zarządu tej instytucji kierowała świadomość, że utwory jego znajdą bliższy kontakt z publicznością niedzielną, aniżeli piątkową, to jeszczeby można było podyskutować, chociaż wynik dyskusji przesądzam zgóry, ale w tym wypadku nie potrafię się oprzeć wrażeniu, że decydującym motywem były cele natury merkantylnej, albo zwyczajne niechlujstwo. Karygodne.

FILHARMONJA. Pani Wanda Piasecka nazwała zamazywanie pedałem muzyki Mozarta, cerowaniem koronki. Jedno z najlepszych i najbardziej dosadnych określeń. Mieści ono i cały stosunek do odtwarzanych utworów tego kompozytora, zdanie sobie sprawy z charakteru jego twórczości i oddanie tego w samej już grze. Czy jest i określeniem tak zwanego stylu mozartowskiego? Mam wrażenie, że tak, chociaż styl pojęty tu został ściśle jako charakter. Czy takiemu pojęciu można co zarzucić? Czy nie jest ono najwłaściwsze? Odpowiedź ułatwi sam Mozart. Staruszek Mozart z całą swoją epoką, której jest przejawem i odbiciem, i Mozart — młodzieniec, taki, jak go pojmuje każdy z nas. Bo muzyka jego należy do tych, które się wcale nie postarzały. Jest równie żywa, jak w okresie powstawania.

W rozwiązaniu tej kwestji leży całe zagadnienie sztuki odtwórczej, sztuki związanej ściśle z muzyką, jednej z najtrudniejszych. Czy grając Chopina trzeba się wczuwać w ducha jego czasów, czy silić się na granie go tak, jak on sam grywał, lub conajmniej jak grywano go w trzydziestych latach ubiegłego stulecia? Czy mamy opanować manjerę romantyczną, przeciwstawić się nawet sobie samemu i odtworzyć Chopina takim, jakim był, czy raczej takim, jakim — jest...

Wielu wzruszy ramionami na tego Chopina, jaki jest dzisiaj i bez namysłu odpowie na wszystkie wyżej postawione pytania, z wyjątkiem ostatniego, potakująco. Nie dopuści nawet do dyskusji.

Ale też i nie zastanowi się nad tem, że nad takiem wykonaniem zaciążyłaby cała ta wiedza, którąby należało tu zużytkować. Wiedza, co swoim pierwiastkiem intelektualnym wypaczyłaby sam charakter Chopina, wolnego od cech muzyki, będącej wynikiem przedewszystkiem przemyslenia. I tu byłoby już wypaczenie.

Dla ułatwienia sobie rozumowania przenieśmy się w dziedzinę sztuk plastycznych. Jak niemożliwe jest podrobienie starego stylu, zorjentować się tylko można, gdy się spojrzy na pierwszą z brzegu linję, która nam z dokładnością określi styl, epokę, czas, miejsce powstania, a nawet zdradzi artystę. Jakże w czemś, co się bliżej nie da określić, jest różnica pomiędzy np. późnym barokiem a wczesnem rokokiem, między takimże stylem polskim a niemieckim lub francuskim, pomiędzy nawet sztuką dzielnic jednego kraju. A teraz inny przykład: weźmy dziewiętnastowieczny zachwyt nad gotykiem, sięgnijmy do tych licznych dzieł, w których zamknięto wiedzę o nim i popatrzmy potem na te wszystkie wykombinowane budowle w „gotyckim stylu", gdzie to począwszy od konstrukcji a skończywszy na ornamencie wszystko jest, jak być powinno. I w rezultacie jeśli młodziutkie kościoły gotyckie także swemi wysmukłemi wieżami o coś wołają, to tylko o pomstę do nieba...

To nieco przydługie porównanie uczyniłem jedynie w tym celu, ażeby uwydatnić cały ogrom zagadnień sztuki odtwórczej w muzyce, która jedyna zmuszona jest sięgać do dzieł starych, kłaść je na swój warsztat i dzisiaj wykonywać.

Styl epoki powstawania utworu to tylko jedna kwestja. Są inne, niemniej ważne. Weźmy cechy indywidualne, a w przedewszystkiem rasowe, narodowe, tkwiące przecież w każdym kompozytorze. Przeciwstawiam je śmiało tym, którzy głoszą „objektywizm" i pozbawione sensu hasła sztuki ponadnarodowej, nie zdając sobie sprawy (a jeśli świadomie, tem gorzej bo nieuczciwie), że taka sztuka wyprana by była z najcenniejszych i najciekawszych pierwiastków. Szczęście, że bezsens tych haseł leży w niemożliwości ich urzeczywistnienia.

Trudność nie tylko zrozumienia, ale już uporania się z temi cechami, indywidualnością twórcy przedstawia nieraz trudność poprostu nie do pokonania. Przykładem chociażby *tempo rubato* Chopina. Czemże ono jest w gruncie rzeczy? Jak je zdefinjować, jak ująć, a co najważniejsza: odtworzyć? Cortot powołuje się na zdanie samego Chopina, mówiąc, że „...zaznaczał on sam konieczność utrzymywania ścisłego rytmu w głosach akompanjujących, podczas gdy rytmikę tematu naginał do specyficznych właściwości linji melodyjnej. *Rubato* niema racji istnienia i wartości estetycznej, jeżeli się nie przedstawia zdecydowanemu rytmowi".

Samo mechaniczne ujęcie nie pokona jeszcze trudności. Wszystko mieści się w tem słowie „specyficzny", które tym razem dopomogło jedynie do wybrnięcia przy budowie istotnie trudnego zdania.

Dlatego Francuzi pilnie nadsłuchują, gdy Chopina grają Polacy.

Kwestje powyższe nie wyczerpują całości zagadnień; są to tylko uwagi, które nasunęło świetne wykonanie przez panią Wandę Piasecką dwóch koncertów: *a-dur* Mozarta i *e-mol* Chopina.

W. NARUSZ.

OFENSYWA

MONT-BLANC KADENA

BANDROWSKICH było trzech. Sławy dorobił się Aleksander tenor, wagnerzysta, tłumacz, mieszkający przeważnie we Lwowie. Jego brat Ernest, dyrektor szkoły realnej, polityk, przeważnie w Krakowie. Trzeci był artysta, dziennikarz, przemiły człowiek, z rodziną na bakier, jakiś czas przy „Kurjerze Porannym", poten w Rajchmana „Echu Muzycznem i Teatralnem", potem założył sam pisemko teatralno-muzyczne, ale zbankrutował, wogóle ciężką biedę klepał i omal w nędzy umarł, w opuszczeniu. Pewną dumę i dobry styl życiowy miał po kądzieli po matce Wilhelminie Ambros Edel von Rechtenberg. Natomiast w Kadenach, spokrewnionych z Meislami i z Hellerami, ale także z Wyhowskimi i Przybysławskimi była krew semicka po „babci Kózi" z Krzemionek czy też z Piasków Wielkich pod Krakowem. Nasz warszawski Bandrowski z rodziną swej żony nie utrzymywał prawie żadnych stosunków. Nieboszczyka ojca „Lolka" (Juljusza) i Jerzego szczególnie irytował Kazimierz Kaden, doktór z Iwonicza, nieznoszący żydów, ale dla figlów rozmawiający z pacjentami w udawanym żargonie. Najinteligentniejszy i najsympatyczniejszy z Kadenów był nieboszczyk Henryk Kaden, początkowo historyk a potem bankier, oddawna osiadły w Warszawie, autor kilku kolekcyj aforyzmów.

„Lolek" jako student był antysemitą. Zmienił się w Brukseli, gdzie przymknął do żydów, studjując muzykę, a potem związał się z żydowskiemi rodzinami warszawskiemi na stałe. W ten sposób już był zaasekurowany. Uroda życia i Wygoda życia. W Jerzym skoncentrowało się wszystko, co aryjskie w rodzie, wraz z aryjskiemi, słowiańskiemi, lechickiemi mankamentami; kompletny zanik kunsztu życia, obłomowszczyzna, wielki talent niedyscyplinowany i do pewnego stopnia zmarnowany (*feminine*). Lolek *masucline*, energja, dynamika, elastyczność, życie wytężone (*strenous life*), obliczone, trzeźwe, z jedyną namiętnością zrobienia wielkiej karjery przez wyeksploatowanie niedużego talentu, a potem? olśnienie licznie rozrodzonej rodziny Kadenów, Meislów, Różyckich, Hellerów, Wyhorskich, Przybysławskich, Bandrowskich, a przez to olśnienie pokaranie za to, że kiedyś lekce sobie ważyli naszego warszawskiego, sympatycznego kolegę Bandrowskiego. I to w tym Juljuszu było i jest może nawet piękne. Wielka ambicja jako motor życiowy.

Kto zna dobrze te rodzinne stosunki, ten miał dużo zabawy czytając Kadenowską, zresztą najmożliwszą jeszcze książkę, to jest „Miasto mojej matki". Autor ucharakteryzował to wszystko na jakiś jakby „patrycjat" krakowski. Było to raczej „*Dichtung*" niż „*Wahrheit*".

* * *

Doblagowywać i poprawiać sobie rzeczywistość lubił zawsze, od dzieciństwa. W rodzinie zwano Lolka: „Kalefaktor". Zablagowywał się potem w muzyce i zablagowywał w polityce, ale najwięcej w wojskowości. W Legjonach to był istny Papkin. I odpowiednio też oceniany czy owartościowywany. Nikt bowiem nie przeczuwał, jaki z „dekera" (odtylcowiec) wyrośnie z czasem Xenofont, Tyrteusz czy też Petöfi. Ale ta inklinacja do blagi płatała mu też różne figle i psikusy w t. z. wywiadach, które, drapiąc się mozolnie po szczeblach karjery, rozdawał żydkom z podrzędnej prasy na prawo i na lewo, raczej na lewo. Ta też blagerska żyłka doprowadziła go do wywiadu ostatniego z paryskiem „*Liberte*", gdzie jest taki ustęp rekordowy:

> „Z chwilą wybuchu wojny rzuciłem się ze wszystkich sił w ruch wyzwoleńczy, który zapowiadał się oddawna i który wówczas wchodził w fazę decydującą. Gdy umilkł szczęk broni, pragnąłem kontynuować badanie problemów, jakie wysuwało nowe życie Polski wyzwolonej. Przez parę lat żyłem w kopalniach, przechodząc wszystkie szczeble od podziemnej galerji do biura administracyjnego. Ten pobyt wśród górników dał mi materjał do pierwszej części mojego ostatniego dzieła „Czarne skrzydła".

W rzeczywistej rzeczywistości nie przez parę lat żył w kopalniach, tylko parę tygodni mieszkał w willi znajomego mi inżyniera w Zagłębiu, skąd też kilkakrotnie zjeżdżał do kopalni jako gość, literat, w licznej asyście.

* * *

„*Nach Warschau zogen zwei Krakauern*"...

Dużo można mieć rekreacji, obserwując błyszczące karjery tych dwu „Krakowiaczków żwawych": Boya-Zeleńskiego i Kadena-Bandrowskiego. Zdobywanie Warszawy rozpoczynali omal równocześnie, piędź po piędzi od strony Żelaznej Bramy. Obaj wyczuwali czy wywęszyli doskonale, że mogą zwy-

ciężyć tylko opierając się na mniejszości semickiej. Gog Kaden zaprzągł do swego rydwana wszystkich żydków, Magog - Boy sto tysięcy izraelitek. Kastor Kaden potrząsał szablą swych pułkowników, Pollux Żeleński obnażał pośladki i jako sztandar wystawił Pryapa *vel* Phallusa... Kaden apelował do heroizmu, Boy do seksualizmu. Dziesięć lat trwały wyścigi do mety najpełniejszego triumfu, sukcesów, popularności, sławy, orderów, zaszczytów, Legji. Raz jeden Krakowiaczek szedł pierwszy (ten z ulicy Gertrudy), raz drugi (ten z Siennej czy Szewskiej). Kaden się fotografował z Marszałkiem, Boy ze swoją Różyczką (z Saronu), nieco już ciężko zwiędniętą. Boy gubernował w teatrach, Kaden w *Pen - club*'ach. Tak jak dziś rzeczy stoją (luty 1933) zdaje się Kaden zwycięża przy *finish*'u.

Pod względem poczytności wykończeni są już zdaje się obaj jednakowo. Tak z powieści Kadena, jak z nieprzeliczonych i niekupowanych tomów Boy'a możnaby stawiać mur chiński lub Brześć otoczyć papierowym murem. Obaj lamentują, płaczą, skarżą się i przeklinają obojętność publiki, która do niedawna tak szalała za Maksem i za Morycem. Mieli swoje dziewięć lat tłustych a teraz i Święty Boże nie pomoże. Katolicy czytają nadal Zevaca i Della, Marczyńskiego i Zarzycką, a co fajniejsi jeszcze Wallace'a, żydzi zaś, wyłącznie swoich żydów, i tu nic już naszym Krakowczykom nie pomoże. Z temi talentami i zasobami, jakie posiadają, już dalej nie zajadą. Na dziewięć lat, przy akompanjamencie jerychońskiej reklamy szwadronu wrzeszczących szrajbjingełesów wystarczyło. Na dalsze dziewięć muszą się kontentować fotelami i palmami akademickiemi. Na żadną nową powieść autora „Bigdy" już się nikt nie połakomi; Boy wytrząchnął już ze swego rogu Amaltei wszystkie fekalja i *obscena* i już młodszych semitek ani drażni, ani łechce, ani w nich nowych dreszczy nie budzi. Stosunkowo mocniej może jeszcze trzymać się Kaden jako organizator, protektor, patron i opiekun młodzi literackiej. Gdy Boy był zawsze więcej kameralny, a raczej sypialniany, Kaden agoralny, blagował społecznie i zgrywał się jako oświatowiec, państwowiec i *tartuffe* socjalny. Kiedy Boy przy całej swojej Beaumarchowskiej chciwości na pieniądze, przy całej swej Balzacowskiej żyłce geszefciarskiej może jeszcze kiedyś splajtować kompletnie, a znudziwszy się i IKACOM zejść jak to się mówi na dziady (nie na dziadosze!), to małomieszczuszek Kaden zawsze będzie pływał i lawirował i grubo zarabiał na przemyśle literackim, nawet gdyby Piłsudczyzna się zawaliła, to on jeszcze mógłby wypłynąć, bo się mógłby poprostu obrzezać i udowodniłby, że był zawsze komunistą, kryptokomunistą, marksanatorem. Z nazwiska skreśliłby wtedy Bandrowski, zostawiłby Kaden, a ponieważ są i Kadeny żydzi, więc, się do nich przypętał i przygarnął. Wywiady w tym sensie po „Czarnych Skrzydłach" do żargonówek już dawał. Teraz jest mniej czerwony, raczej biało-różowy, może nawet biały, może nawet biało-gwardyjski. Ale żeby mieć klijentów i wśród sfer bolszewizanckich, to jeszcze od czasu do czasu puszcza np. elogę o Tollerze... Wtedy mu i *gefreiter* Breiter i *ein ganz gemeiner* Iksyon von Wasserzug przebaczą, że jest wyznania Brzeskiego, boć zawsze przecież Romanista i hellenista i humanitarysta!

* * *

Po przeczytaniu grubego tomu „*Lettres de Chopin*" wyszłych teraz w *Collection Polonaise* w redakcji Opieńskiego z *préface* Paderewskiego zostało i utkwiło w głowie tego Kadena (muzyka) i najbardziej go ujęło i wzruszyło, że Chopin w listach „zwracał czujną uwagę na materjalną cenę swych dzieł, że wymieniał cyfry, że się targował, że chciał więcej." Z dużą satysfakcją cytuje Kaden szereg listów, między niemi taki:

> „Pleyel mi mówił, że Schlesinger źle mi płaci, uważa, że 500 franków za jeden skrypt to zadużo; 500 franków na wszystkie kraje. No, to już w takim razie wolę mieć do czynienia z prawdziwym żydem. A ten kanalja Probst, który mi płaci 300 franków za mazurkę! Przecież ostatnie mazurki przyniosły mi, jak nic 800 franków. Wolę je za nic oddać, niż mieć do czynienia z tymi idjotami".

Dla nas ważne w tym liście jest to zdanie: „wolę mieć do czynienia z prawdziwym żydem"...

Obserwując walory literackie indywidualności Kadenowskiej i miejsce, które on swą personą zajmuje w życiu publicznem, nie sposób nie powtórzyć za Chopinem tego zdania: „wolę mieć do czynienia z prawdziwym żydem".

* * *

Ostatnio „Lolek" zbierał wspaniałe laury w Paryżu, gdzie wyjechał jako sekretarz warszawskiej Akademji nieśmiertelnych. Kiedy biedny Jerzyk u Jana Bożego, Lolek w Paryżu z bankietu na bankiet. Raut w ambasadzie, śniadanie u Rotszyldów, obiad w Panteonie, kolacja w Luwrze, czarna kawa w Tuillerjach, *lunch* w Compiégne bal w Trocadero, uroczyste przyjęcie w *Galeries Lafayette*, dancing w Sorbonie, bankiet u księżnej Melanji Bonaparte, bal w Sorbonie, audjencja u hrabiego Paryża; z literatów Henri Hertz, Thérive Giraudoux, Valéry (Sławek), Crémieux. Toasty, wywiady! mowy! fotografje! *Gloire! Gloire!*

W Brukseli audjencja u królowej belgijskiej! „Lolek" wręcz egzemplarz „*Ma ville et ma Mére*". Czego to się i doczekał, dochrapał skrzętny i obrotny „Kalefaktor" Krakauerek...

Ale mu nie zazdrośćcie znowuż zanadto i nie obrzydzajcie zbyt życia, kiedy już wróci. Jak to niedawno pisał w swym „Pionie" nasz „Zola i Proust" w jednej osobie:

> „Drogi Panie Kolego Skiwski, cóż to za bankiet z mową w zanadrzu, a jeszcze, skoro już o mnie rzecz idzie! Bankiet — a dwa stare wrzody w żołądku (*ulcus ventriculi rotundum*) i woreczek żółciowy — bardzo nie bardzo, i wątroba — bardzo nie bardzo. Niema czego zazdrościć".

Ulcus ventriculi rotundum!
Woreczek żółciowy!

Więc czy przy tych wszystkich triumfach, czy po tem wydrapaniu się na sam szczyt Mont Blanc'u swych marzeń może tam czuć się szczęśliwym ten mały, maleńki „Krakowiaczek ci ja"?...

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Opowiadają, jakoby prezes *Fidac*'u, gen. Górecki, a zarazem prezes Banku Gospodarstwa Krajowego w Warszawie, otrzymał od paryskiej organizacji kombatantów, biorących udział w walkach na ulicach Paryża, telegram mniej więcej tej treści:

„Meldujemy ci, panie generale, że, idąc za hasłem sanacji moralnej, któremu, jak mówiłeś, służysz wiernie dla dobra swego kraju, walczyć będziemy nieustraszenie z masonerją i żydami, dopóki nie doprowadzimy do całkowitej sanacji w naszej ojczyźnie".

Podobno p. prezes, przerywając wywczasy warszawskie, udaje się do Paryża, aby wyjaśnić nieporozumienie co do znaczenia tego hasła w Polsce.

*

Wyobraźmy sobie.

Szósty lutego w Paryżu. Rzesze wielotysiączne gromadzą się na *Place de la Concorde*. Podniecenie wzrasta. Ze wszystkich stron słychać groźne, potężne wołanie: „*A bas les voleurs!*".

Pośród tłumu uwija się korespondent PAT-a czy też „Gazety Polskiej"... Nerwowo zapisuje w notatniku: „Tłum wznosi okrzyki antypaństwowe...".

*

Z telegramów prasy sanacyjnej:

Delegat polskiej Akademji Literatury i PEN-klubu, Juljusz Kaden-Bandrowski, w triumfalnej podróży po stolicach europejskich przybył do Brukseli, aby złożyć Królowej w darze swoją powieść i zdać sprawę ze stanu literatury w Warszawie. Królowa z ożywieniem dopytywała o nowości najświeższe.

— Panie Juljuszu — miała rzec, przyjmując książkę — byłabym niepocieszona, gdyby pan na chwilę przypuszczał, że nie znam pańskich arcydzieł.

Wizyta znakomitego gościa wywarła na Dworze wielkie wrażenie.

*

Przedstawiciel klubu BBWR, poseł Bogusław Miedziński przyznawał w dyskusji sejmowej, że i on również uważa za zjawisko niepomyślne dla polskości zażydzenie naszych miast i miasteczek, że wolałby, ażeby stosunki pod tym względem w całym kraju układały się, jak w b. zaborze pruskim, tylko nie wie, niestety, zupełnie, jak ten stan pożądany osiągnąć.

Niechże zapyta się swojego kolegi partyjnego, czy też zwierzchnika, wice-prezesa klubu sejmowego BBWR, posła Wiślickiego... Może mu co poradzi w tym względzie...

*

— Dlaczego żydzi nie zdołali wytworzyć swego państwa?

— Nie mogli sobie poradzić ze swoją wolą twórczą. Najlepsze pomysły norm nie zdołały się oprzeć wrodzonemu żydom genjuszowi obchodzenia prawa. I tak im zeszło. Na końcu się roześmiali i dali pokój. Rozproszywszy się po świecie uczą skutecznie swej sztuki gościnne ludy.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.